Z jasnych dni. 16.

BIBLIOTEKA RODZINNA.

Z JASNYCH DNI.

przez

Czesława Pieniążka.


Biblioteka Rodzinna
Ze zbioru książek

zajmująco nakreślonych szkiców. Gunter, który na ziemi ojczystej dorósł sławą i wzięciem najcelniejszym powieściopisarzom świata, rozwinął w powyższym utworze swój cały talent autorski i stworzył kreacyą, która mu zjedna niezawodnie szczerą sympatyą Szanownych Czytelników.

Tom 13 i 14: **Całe życie głupi**. Powieść przez Michała Bałuckiego. Sądzimy, że już samo nazwisko znakomitego autora i gienialnego psychologa, jakim jest Michał Bałucki, wystarcza, aby czytających tym nowym utworem naszego niezrównanego powieściopisarza żywo zainteresować i z góry przychylnie dla niego usposobić. Autorów tego rodzaju i tej miary co Michał Bałucki, nie posiada chyba żadna inna literatura europejska. To też powieść jego „Całe życie głupi" przynosimy z tem przekonaniem, że zacieśni ona jeszcze bardziej węzły tej sympatyi, jaką Szanowni Czytelnicy wydawnictwo nasze dotychczas zaszczycali.

Tom 15, 16 i 17: C. M. Croker. **Dyana Barrington**. Jeżeli zręczna intryga i interesujące sytuacye są głównemi zaletami dobrej powieści, to sądzimy, że pani Croker, znana autorka angielska, ze swego zadania aż nazbyt sumiennie się wywiązała. Powieść jej „Dyana Barrington" jest pamiętnikiem młodej, w Indyach wychowanej Angielki. Jesteśmy przekonani, że ze wszystkich płodów literatury zagranicznej, jakie Biblioteka rodzinna dotychczas umieściła, powieść pani Croker, pełna fantazyi i denerwujących scen, najsilniejsze wywrze wrażenie.

Z głębokiém poważaniem

Wydawca „Biblioteki Rodzinnéj"

Franciszek Bondy,

księgarz

Wiedeń, I. Annagasse 11.

Z JASNYCH DNI.

Opowiadania

przez

Czesława Pieniążka.

Wiedeń.

Nakładca Franciszek Bondy.

I. ul. św. Anny 11.

Czcionkami W. Steina w Wiedniu.

Przemysławowi i Michalinie Pieniążkom

w braterskim upominku

Czesław Pieniążek.

NAD PRZEPAŚCIĄ.

I.

Wspaniałe prawdziwie są okolice Drezna, czy w górę Łaby przez Loschwitz, Pillnitz, Pirnę, ku saskiej Szwajcaryi, czy też ku Rabenau, czy ku Misnyi z biegiem wody. Bóg hojną dłonią rozsiał tu i wdzięk przyrody po falistych wzgórzach, krytych lasami i grozę pustynną w olbrzymich skałach, pełnych majestatu Boga i dzielności człowieka, co je przystroił w zamki, wille, kościoły, miasteczka. Wdrapał się człowiek na szczyty kamieni i zatknął na nich znamię swej cywilizacyi: pracę i sztukę, pożytek i piękno.

Tuż za owem Loschwitz, pamiętnem z pobytu Szyllera, a znanem z najpiękniejszych willi w całej okolicy Drezna, znajduje się wieś Wachwitz, a w niej urocza willa, zmieniająca co rok prawie właścicieli, którzy jej nigdy nie zamieszkują sami, a rzadko znajdują letnich lokatorów. Piętrowa, strojna w smukłą wieżę, z rozległym tarasem i kilku balkonami, o stylu dość banalnym, szablonowym, jak większa część letnich pałacyków tegoczesnych. Wznosi się na stromej skalistej górze, która od południa stacza

się dość łagodnie ku brzegowi Łaby. Na tym południowym stoku góry, rozciąga się rozległa i urodzajna winnica, do willi należąca, po za willą ku wschodowi ogród angielski, za nim warzywny, a od strony północnej oficyny, magazyn, łazienki letnie, wozownie i stajnie. Tuż za tymi budynkami zaczyna się las szpilkowy, gęsty, zawsze wichrami grający. Od strony zachodniej piętrzy się skała, a w niej wykutych kilkadziesiąt schodów, od szosy do willi wiodących.

Widok ku stronie południowej uroczy, zachwycający. U stóp błyszczy Łaba; po niej uganiają się parowce i pasażerskie i towarowe, a że stacya tuż u stóp willi, więc statki ze środka rzeki skręcają dzióbem ku patrzącemu, jakby go nęcić chciały ku sobie, wiążą się na chwilę z pomostem, odpoczną i znowu koła zawarczą, para zaszumi, dzwonek je w dalszą drogę błogosławi i woda kipi pianą pod kołami, statek wykręca się i pędzi ku Dreznu z prądem wody, lub pruje ją zwolna w stronę saskiej Szwajcaryi.

Ku zachodowi rysuje się na błękicie kontur kopuły kościoła „Frauenkirche“, wieża katedry katolickiej i szary pas Drezna, owej Florencyi niemieckiej. Wprost na południe nizina uzłocona zbożem, ujęta w zieloną ramę lasu; rozpruwają ją pociągi drogi żelaznej pragsko-drezdeńskiej. Ku wschodowi czerwienieją ceglane dachy nadbrzeżnych wiosek, a z po za nich wyglądają ku niebu wzgórza Pirny i wyższy od nich Königstein z pamiętnym w historyi zamkiem, co i siedzibą królów bywał i więzieniem i twierdzą.

Wszędzie tu, w całej Saksonii, widoczne ślady polską stopą wydeptane. W pałacu królewskim w Pillnitz, po-

wie ci portyer oprowadzając po ogrodzie, że jak „Polska do Saksonii należała“, tutaj przyjmował w tym pawilonie August III. panów polskich. Na „Neustadt“, August II. ze spiżu, spina się na koniu ku północy, czy aby pogrozić Karolowi XII. z za grobu, czy może wyciąga rękę ku Piotrowi W. by w uścisku z carem, zdławić Polskę. Galerya obrazów w Zwingerze przypomina ile August III. wyłożył z Polski płynącego grosza na te zbiory, którymi dziś Niemcy chlubić się mogą. Katedra katolicka związana galeryą z królewskim zamkiem, to świadek tej chwili, w której korona polska związała elektorów z kościołem. Na Frydrychstadt śród katolickiego cmentarza, ile tam polskich napisów na kamieniach, po części już i rozwalonych. A pod tymi kamieniami spoczął twórca „Wiesława“, spoczęło wielu, co im tułactwo czy pióro, czy szablę wytrąciło z dłoni.

Dla tych, co na tułaczkę z kraju iść musieli, bywało Drezno pierwszą stacyą etapu na pielgrzymiej drodze po Europie całej, to też nie dziw, że tu Polakowi mniej obco, mniej zimno, niż w innych miastach niemieckich.

Było to w roku 1870. Wrzała wojna francusko-niemiecka. Zbrojne tłumy Niemców, jakby na zalew świata przesuwały się zimne, spokojne, a groźne na zachód, ku Francyi. Wyludniły się miasta i wsie, tem więcej znać było cudzoziemców z całego świata, których tu nigdy nie braknie, a między nimi, zwykle do liczniejszych należy polska kolonia. Pośród niej i ja się wówczas znalazłem, jak ptak przelotny.

W ostatnich dniach sierpnia, gdy już upajały się Niemcy zwycięstwami nad Francyą, patrzałem z Brülowskiego tarasu na Łabę, na wzgórza Nowego Miasta, gdy

myśl sprzeniewierzała się oku, porzucała je i pędziła na pobojowiska, na których ginęła nasza niegdyś sojusznica Francya. Dziwny dla niej mamy sentyment, jak do wiarołomnej kochanki; zdradza nas, opuszcza, nawet kala nasze uczucia, a jednak nie możemy jej nie kochać. Tak było w r. 1870, dziś może wyrzuciliśmy ową miłość pomiędzy wspomnienia, lub złożyli w zbiorze innych błędów politycznych. W sierpniu 1870 niepodobna było nie krwawić sobie serca echem strasznych, niebywałych klęsk Francyi.

„O czem myślisz Kaziu?“ odezwał się głos za mną, a ręka spoczęła na mojem ramieniu.

„Józio!“ zawołałem uradowany, zwracając się ku przybyłemu „a co to, to już więcej niż niespodzianka.“

„A dla mnie jaka miła, że ciebie widzę! Co tu robisz chłopcze? Zabierałeś się przecież z takim zapędem do gospodarstwa, że myślałem, iż teraz zwozisz pszenicę, a ty sobie spacerujesz po brülowskim tarasie.“

„Właśnie gospodarstwo mnie tu przygnało. Chciałem widzieć, jak to Niemcy urządzają cudownie zbiory. Uczyć nam się od nich i po to tu przyjechałem.“

„Na długo?“

„Bez planu, byle widzieć jak najwięcej. No, ale jakimże ty sposobem rozstałeś się z Zarudziem; ty gospodarz, domator, wróg wszelkich podróży? Gdzież pani twoja?“

„Jesteśmy tu wszyscy, wszyscy, nawet Staś i Jadwinia z panią Milską, a skoro cię złapałem, nie puszczę i do domu teraz zabieram.“

„Gdzież mieszkacie?“

„W raju. Powiadam ci Kaziu, że w raju. Teraz dopiero pojmuję, że można wyrywać się z naszych sennych

podolskich równin, jeżeli się raz widziało Ren, Szwajcaryę, Drezno."

„Jakoś Pan Bóg na ciebie łaskawszy, niż na Adama. Pierwsi rodzice nawet Abla nie mogli mieć w raju, a ty masz z sobą i Stasia i Jadwisię. Ale gdzież ten raj Józefa i Anieli?"

„Nie pytaj, tylko chodź".

Puściliśmy się żwawo tarasem ku schodom, potem kilka kroków na prawo i byliśmy w przystani. Statek miał właśnie odbijać, zdążyliśmy jeszcze na czas na pokład i za chwilę byliśmy na środku rzeki.

„Zanim przestąpię próg tego raju, powiedzże mi, po co go szukać aż tutaj musiałeś, skoro przecież miałeś go w domu od lat siedmiu?"

„Otóż to właśnie, że go w domu już brakować zaczynało" rzekł smutnie Józef.

„Nie pojmuję."

„I ja nie pojmowałem, martwiłem się, sposępniałem, ale dziś już wszystko zapomniane, rozwiały się chmury, pogoda jasna, złocista roztacza się nad nowym rajem."

„To ci tylko powinszować, że się chmury rozwiały; nie byłbym myślał, że się nad waszem niebem mogły były kiedykolwiek zgromadzić. Pobraliście się z gorącej miłości, żyjecie niespełna siedm lat z sobą, cóż u licha za wiatry napędzały wam chmury?"

„Właściwie widzisz, nic wielkiego. Anielka przyzwyczajona do miasta, do ruchu, do życia ożywionego, zaczęła się cokolwiek nudzić na wsi. Ja zajęty gospodarstwem, nie bardzo wesołym jestem w domu towarzyszem; sąsiedztwa mało, a i te, jakie są, dość odległe.

Do miasta wyjeżdżamy rzadko, nie dziw też, że się Anielcia znudziła."

„Wszakże tyle można mieć zajęć na wsi koło domu, koło gospodarstwa, a przedewszystkiem koło dzieci."

„Ona biedna nie ma daru, ani zamiłowania do takich zajęć. To już trzeba urodzić się gospodynią. Nie zechcesz zaś posądzić mnie, abym był zdolny zmuszać żonę do zajęć, w których nie znajduje upodobania. Sprawia mi to prawdziwą przyjemność, gdy ją wyręczać mogę i jednoczę w sobie zajęcia gospodarza i gospodyni. Ale co tam o tem. Dość, że porwałem Anielkę wraz z dziećmi i panią Milską i pojechaliśmy do Szwajcaryi, nad Ren, a blisko od miesiąca jesteśmy tutaj. Włóczymy się tak od maja. Anielcia projektowała, byśmy pojechali sami bez dzieci, aby mogła więcej mieć swobody i odpoczynku, ale nie mogłem bez nich się obejść. Ufam Milskiej zupełnie, ale zostawić dzieci bez ojca i matki przez kilka miesięcy, tegobym nie uczynił i zatęskniłbym za niemi już po tygodniu tak, żebym z drogi był wrócił. Uzyskałem wreszcie koncesyę od Anielci i jeździmy jak cyganie."

„Loschwitz", zawołano na statku, dzwonek rozległ się w przystani, parowiec zakręcił się i otarł o pomost.

„Może tu wasz raj, Józefie?"

„O jeszcze dalej. Nie powiem ci, nic nie powiem; sam zobaczysz."

„Cóż robicie po całych dniach? Lękam się, by twojej pani nie znudził się pobyt dłuższy, choćby w tych pięknych okolicach, ale bez żadnego stałego zajęcia, bez towarzystwa."

„Ho! ho! są zajęcia, jest towarzystwo. Jeździmy po okolicy; byliśmy w Pillnitz, zwiedzamy osobliwości Drezna,

wkrótce wybierzemy się do saskiej Szwajcaryi... Anielcia ożywiona jak za dawnych czasów, wesoła, szczęśliwa. To też jakbym się odrodził. Zaczynało mi nieraz gorżko być w domu; już wkradało się we mnie podejrzenie, że Anielcia chyba kochać mnie przestała, taka była skwaszona, obojętna, zniechęcona. Sprowadzałem jej całe biblioteki książek, czytała, pochłaniała je, ale usposobienie się nie zmieniało. Już mnie to i niecierpliwić zaczęło, więc raz zacząłem Anielkę wyciągać jakby na spowiedź, aż wreszcie wyznała mi, że monotonność życia nudzi ją i męczy."

„Z miłości dla ciebie" rzekła do mnie, „zagrzebałam się na wsi, zdala od świata, od ludzi. Taka sielanka wystarcza na rok, dwa, trzy lata, ale nie na lat siedm. Myślałam, że ci miłość dla mnie to powie, iż zasłużyłam sobie na jakąś rozrywkę, bodaj na jakąś wycieczkę po Europie. Widzę, że milsze ci od żony folwarki, konie pszenica, gorzelnia. Oto zapłata za miłość i poświęcenie."

„To rzekłszy rozpłakała się biedna Anielcia i... w tydzień potem byliśmy już w Wiedniu na tym słynnym f e ś c i e majówkowym w Praterze. Czegóżeś się tak zamyślił Kaziu? Co to? jakiś smutek na oczach? A fe! to ja się cieszę, żem spotkał przyjaciela, a i kuzyna, bośmy przecież po ciotecznych braciach, a ty skrzywiłeś się, jakby ci ksiegosusz woły pozabijał."

„Ot, zdaje ci się. Zasłuchałem się w twem opowiadaniu."

„I to cię tak zasmuciło?...."

„No, nie, jednak inaczej sobie wyobrażałem twoje szczęście małżeńskie..."

„Ej, cóżbo znowu! Ty bo jesteś idealista, chciałbyś, żeby kobieta była naprawdę aniołem..."

„O nie; to za banalne, za zwietrzałe, za romantyczne. Ja pragnę, by kobieta była tylko... kobietą, ale taką jaką ją Bóg mieć pragnął.“

„Taką jest moja Aniela, taką była i taką będzie.“

„Czy ty się nudzisz w towarzystwie swej żony?“

„Jakżeż mógłbyś przypuszczać?“

„Jej towarzystwo ci wystarcza, bo ją kochasz, kobieta kochająca męża, nawet na Sybirze nie dozna nudów w jego towarzystwie...“

Urwałem spostrzegłszy, że powiedziałem za wiele, a nie w porę, ale na szczęście i tego Józef nie słyszał, bo zobaczywszy zdala przystań, zerwał się z ławki i pobiegł ku balustradzie parowca.

„Kaziu! zawołał, trzymając za poręcz drzwi balustrady, jakby się lękał, by go kto w wysiadaniu nie uprzedził „Kaziu! już, już jesteśmy w domu. Oto widzisz mój raj na górze.“

Zobaczyłem znaną mi już ową willę Wachwitz, wznoszącą się naprzeciw przystani. Zaledwie rzucono mostek na pokład, już byliśmy w przystani, a w kilka minut pięliśmy się po owych kilkudziesięciu w skale wykutych schodach.

II.

Znałem żonę Józefa od dziecka, bośmy z jej rodzicami o miedzę sąsiadowali, wiedziałem, że piękna była zawsze, ale tak ożywioną, tak uroczą, jak teraz, nie widziałem jej nigdy.

Gdyśmy się wreszcie dostali na szczyt góry, zastaliśmy całe towarzystwo na tarasie. Pani Milska na scho-

dach opowiadała coś małej pięcioletniej Jadwisi, a sześcioletni Staś uganiał, potrzaskując biczykiem; w głębi pani Józefowa promnieniejąca, o płomiennem oku, w najgustowniejszej tualecie ogrodowej, żywo rozmawiała z jakimś oficerem francuskim.

Gdy go Józef zobaczył, przyspieszył kroku i zdala już zawołał:

„A ja pana szukam po całem Dreźnie, by cię zaprosić a...“

„A ja pozwoliłem sobie odgadnąć pańską uprzejmość i przybyłem“ przerwał Francuz, spiesząc z wyszukaną elegancyą na powitanie Józefa.

Gdy Józef pieścił żonę, jakby jej z rok nie widział, Francuzowi skrzywiły się usta ironicznie, ale gdy mnie spostrzegł, zgasił ironię i z wyrazem uprzejmości patrzał czekając zapoznania.

„Masz gościa, gościa niezwykłego. Patrz Anielciu! Poznałaś go?“

„A... pan Kazimierz! Witam pana“ i podniósłszy się, podała mi rękę Aniela z wyrazem dawnej życzliwości, jaką się zawsze u niej cieszyłem.

„Pan porucznik Gaston de Brun, mój przyjaciel Kazimierz...“

Francuz podając rękę, zasypał mnie zaraz falą słów, z których płynął ten sens moralny, iż czuje się bardzo szczęśliwy, poznawszy jeszcze jednego Polaka, kochając Polaków, jak swoich własnych rodaków. Były to owe liczmany przyjaźni, jakich nam nigdy nie szczędzili Francuzi.

Tak jakoś byłem rozstrojony opowiadaniem Józefa, że mi trudno było ożywić się teraz i dość biernie się

zachowywałem, korzystając z tego, że Francuz mówił i żartował za wszystkich.

Był to mężczyzna wysoki, brunet, zbudowany jak Apollo Belwederski, a twarz miał jakby zdjętą z posągu Apolina, jeno, że przez oczy dął z niego żar jakiś, a usta miały zakrojenia, tak częste u Francuzów, a wyrabiające się z cynicznych uśmiechów. Młody ten człowiek, o zaledwie wyrosłym wąsie, miał w sobie coś demonicznego, zwłaszcza gdy śmiejąc się, pokazywał dwa rzędy bielutkich zębów.

Józio uparł się pokazać mi całą willę i ogrody mimo, iż go zapewniałem, że je znam dobrze, bo zwiedzałem tę miejscowość.

„Może pójdziesz z nami Anielciu? Pan pozwoli zaprosić się do towarzystwa?“ rzekł zwracając się do Gastona.

Francuz zerwał się, Aniela powstała — podał jej rękę, a my z Józiem szliśmy przodem. Józef bezustannie upojony, spieszył się, nie czekając na żonę i gościa i prowadził mnie do winnicy. Gdyśmy się o kilkadziesiąt kroków oddalili, zapytałem:

„Zkądże ty sobie przypytałeś tego Francuza?“

„Miły człowiek! co? A jaki miły; zuch chłopak; bardzo go polubiłem.“

„Ja mając piękną żonę, nie polubiłbym takiego fircyka.“

„A!“ odparł z odcieniem oburzenia „moja żona...“

„Jest kobietą, która zwykła się nudzić.“

„O, za granicą się już nie nudzi.“

„Żeby tylko ten Francuz bardzo jej nie zabawiał.“

„Kaziu!“

„Nie gniewaj się; wszakżeśmy nie obcy sobie — mówię jak brat, lecz przez to jeszcze ani nie uchybiam twej żonie, ani jej nie podejrzywam. Zwracam uwagę ot tak sobie."

„Gdy poznasz Gastona, przekonasz się jaki to prawy charakter."

„No i jakże tę prawość adoptowałeś dla miękkiego swego serca?"

„Zaczynasz i mnie przyganiać."

„Ależ Józiu złoty, kochany, wszakże to już chyba nie przygana, gdy oceniam twe zacne serce; a że miękkie, to już taka natura polska."

„A co? sam przyznajesz, że to natura polska. Jakże tu Polakowi nie przygarnąć Francuza? Biedaczysko dostał się do niewoli i kazali mu przebywać w Dreźnie, ale puścili na słowo honoru. Poznaliśmy się w Grosgartenie. Obszedłszy ogród z Anielcią, zboczyliśmy na lody do cukierni i przybywamy właśnie w chwili, gdy nad stawem jakiś drągal niemiecki kłóci się z Gastonem. Nie rozumieli się wzajemnie. Niemiec po swojemu, a ten po swojemu. Gdyśmy nadeszli, zbliża się Francuz i z właściwą swemu narodowi elegancyą prosi nas, byśmy mu posłużyli za tłómacza z Niemcem.

Był to ogrodnik, pilnujący także i łabędzi, aby im przechodnie nie rzucali jadła. Wówczas wydano taki rozkaz wskutek wypadku, że ktoś tam czemś umyślnie, czy niechcący zatruł dwa łabędzie. Francuz nakupiwszy bułek, zdrobił je i rzucał ptakom, a dozorca mu tego wzbraniał i długo prawił o rozporządzeniu władzy. Ztąd sprzeczka. Oczywiście wyjaśniliśmy Francuzowi rzecz całą, załagodzili ogrodnika i znajomość z Gastonem się zawią-

zała. Ponieważ nie wolno jeńcom wychodzić za terytoryum miejskie, przeto przez znajomych rodaków wyrobiłem dla Gastona specyalne pozwolenie wyjeżdżania do Wachwitz."

„I złożyłeś kaucyę?"

„Zkądże wiesz?"

„Bez kaucyi by go Niemcy nie wypuszczali."

„Przecieżby słowa honoru nie złamał?"

„Ale po za miastem mógłby działać szkodliwie i aby się przeciw temu uchronić, żąda się kaucyi."

„No to już mniejsza. Nie wielka rzecz, dałem dwa tysiące talarów, które mi przecież zwrócą."

„A, to niezawodne. Ale oryginalny sposób kupowania sobie towarzysza."

„Jakże ci się podoba u nas, kochany kuzynie?" odezwała się zbliżając Aniela, wsparta na ramieniu Gastona.

„Cudna okolica, gdybym był poetą, napisałbym sielankę."

„Czy w guście de Lilla, o czułej pasterce i czulszym pasterzu?"

„Możnaby i w stylu XVIII. wieku ułożyć sielankę, tylko do pasterza i pasterki, wilka dodaćby trzeba."

„A to znowu dlaczego?" spytała Aniela źle ukrywając zmięszanie, a jeszcze gorzej udając śmiech.

„Ha, bo lasy tuż za ogrodem" rzekłem, wskazując ręką, i spojrzałem obojętnie na Anielę, nie spuszczając jej z oka.

Rozważała widocznie, jak zrozumieć moje słowa, ale widać ufna w to, że nie o Francuzie myślałem, rozpogodziła się i śmiać zaczęła tem weselej, że przez chwilę niepokój ją ogarniał. Francuz prześwidrował mnie wzro-

kiem, ale odpowiedziałem mu spojrzeniem, z którego wyczytał zimną obojętność.

„Wybornie ci się udało, kuzynku, z tym wilkiem.“

„Jeszcze się nie udało, bo sielanka nie napisana.“

„Ale sprobujesz napisać?“

„Chyba gdy was odwiedzę w domu.“

„Dlaczegóż tam dopiero?“

„Bo tam kuzynko doznam na twój widok natchnienia.“

„Czyż tu jestem inna?“

„Natchnienia tu obudzić nie możesz?“

„A niegrzeczny! Dlaczegóż?“

„Bo kobieta tylko na tle domowego ogniska, w domu, gdzie jest gospodynią, panią, żoną, matką; gdzie w całej pełni może rozwinąć i spełnić zadanie swego życia; bo kobieta tam tylko do natchnienia obudzić może takiego jak ja pedanta, co kobiety nie uważał nigdy za bawidło, ale za podwalinę rodzinnego życia, za podwalinę etycznej wartości społeczeństwa.“

„Ho! ho! ho! Panie Kazimierzu, pyszna deklamacya, prawisz jak teolog. Kobieta wydaje ci się więc najpiękniejszą, gdy dzieciom gotuje papkę, gdy zwołuje gęsi, kaczki, kury i tiu, tiu, tiu woła, albo może gdy do stajni idzie przypatrywać się jak krowy doją!“

„Nie przeczę, że taki mam gust.“

„Ożenisz się z jaką Marysią, lub Kaśką.“

„Nie pani, tego nie uczynię, ale gdy się ożenię, zaprawię żonę moją do tych zajęć, aby jej się nigdy nie nudziło w domu. Im świetniejsze kobieta ma wychowanie, im dokładniejsze wykształcenie, tem silniej uczuwa w sobie zadowolenie ze spełniania obowiązków.“

„Należysz kuzynku do 18. wieku, ale nie do poe-

tycznych uniesień sielankowych, jeno cię dać pod strzechę szlachecką, między wąsali z podgoloną czupryną, co ze swojemi aśćkami odmawiali różańce i kopali grzędy.“

„Różaniec dla kobiety z pewnością pożyteczniejszy od francuskiego romansu.“

„Za co też kuzynku poczytujesz kobiety? Za ludzi wolnych, czy za niewolnice?“

„Pragnę, by kobiety były ludźmi; ale człowiek powinien znać prawa swe i swe obowiązki i z pierwszych należy mu korzystać, a drugie powinien spełniać. Czemże atoli byłaby kobieta, którąby korzystała w całej pełni z praw swoich, a nawet ich nadużywała, a obowiązków nie spełniała żadnych, spełniać ich nie chcąc, nie znając ich wcale?“

„A toście się rozgadali na temat filozoficzno-moralny, zacząwszy od sielanki“ wtrącił Józio, spostrzegłszy, że Aniela cokolwiek zaczęła się krzywić.

Nie przypuszczała, bym do niej zmierzał, nie domyślając się oczywiście naiwnej spowiedzi Józefa, uczynionej przedemną zaraz po spotkaniu, a wiedząc, że byłem zawsze nader uprzejmy dla kobiet, jej zaś okazywałem dotąd jak najwięcej szacunku. Nie biorąc słów moich za przytyk do siebie, była z nich przecież niezadowoloną, co wyraźnie objawiło się w jakimś niesmaku, który się rozlał na jej twarzy. Lękając się, bym nie powiedział za wiele, jak mi się już raz wyrwało w pogadance z Józefem na statku, zwróciłem rozmowę w wesołym tonie na dzieci — zwłaszcza, że Staś przybiegł w tej chwili do winnicy, nie zważając na wołanie pani Milskiej.

„A niechże cię upieszczę Stasiu“ zawołałem podno-

sząc go z ziemi. „Poznałeś ty mnie? Pamiętasz jakeśmy obaj na kucyku jeździli?“

„Pan duzy, to na kucu nie jeździ. Tatuś także na kucu nie jeździ.“

„Ale z tobą to będę zawsze jeździł.“

„I ja z panem pojadę i z tatusiem, a z tym Flancuzem nie pojadę.“

„A to czemu?“

„Bo on paskudny, ja się go boję, on taki czarny jak kominiarz, a tak patrzy strasznie!“

To rzekłszy, zwrócił się ku mnie i objął mnie za szyję. W tej chwili zjawił się służący, zapowiadając herbatę.

I znowu znaleźliśmy się na tarasie, ale wszyscy mniej weseli niż dotąd, a przynajmniej nie tyle swobodni. Po herbacie pożegnałem Józefów, co widząc Gaston, także wybrał się w drogę. Wsiedliśmy razem na statek. Mimo wszelkich wysileń tak z mojej, jak z jego strony, aby nawiązać zwykłą rozmowę towarzyską, nie wiodło się nam wcale i przepłynęliśmy dwadzieścia minut do Drezna śród banalnych uniesień nad pięknością księżyca.

III.

Nie przypuszczałem i nie chciałem przypuszczać, aby już jakiś stosunek istniał między Anielą a Gastonem, ale obawiałem się bardzo, aby się nie wytworzył. Mąż oślepiony miłością, poczciwy aż do naiwności, słaby, ulegający żonie — to już wystarcza, aby kobietę popsuć, choćby była najlepszą. Ale ta kobieta nie bardzo męża kocha, skoro ją znudził na wsi; a do tego bez zajęcia, bez za-

miłowania obowiązków, jakie na nią spływają z tytułu gospodyni i matki — to drugie złe. Ten demoniczny Francuzik, otoczony aureolą męczennika — jeńca, a tak dla zmysłów powabny, to trzecie złe i może najgorsze. Jak tu Józefowi otworzyć oczy?

Myśl o Józefie zajmowała mnie tak, że przez kilka dni poszły mi w niesmak zwykłe moje wycieczki w okolice dla czynienia studyów nad gospodarstwem w Niemczech. Wpadło mi do głowy, że może lepiej wyzwać Francuza i zabić. Myśl szalona! Z jakiegoż tytułu? Bezużytecznie, bo skoro Anielę mąż znudzi, poszuka sobie innego Gastona. Najlepiej byłoby namówić Józefa, aby wracali do domu. A czyż da się namówić, gdy żona założy „veto?“

Pełen troski o Józefa i jego dzieci, udałem się do Wachwitz. Prócz Józefów i Gastona, zastałem jeszcze księdza Wacława. Był to człowiek miły, ukształcony, niezwykłej słodyczy charakteru, a ksiądz wzorowy, kaznodzieja znakomity. Chociaż Wend z Budziszyna, po polsku mówił tak biegle i tak czysto, iż mógł uchodzić za rodowitego Polaka. Był też spowiednikiem i jakby kapelanem kolonii polskiej, nietylko szanowany, ale i kochany przez wszystkich, nawet przez tych, którym się pierś wypróżniała z zasobów wiary. Józefowie zawiązawszy stosunki towarzyskie w kolonii polskiej, byli przedewszystkiem w domu hrabstwa X. na Sidonienstrasse, bo dom ten i zacnością swą i powagą i wysoką intenligencyą obojga gospodarstwa, wytworzył sobie naczelne stanowisko pośród Polaków i był jakoby ogniskiem, do którego wszystko się skupiało i ztąd na kolonię polską rozchodziły się: przyjaźń, opieka, a przedewszystkiem przykład uczciwego, go-

dziwego życia. Mieli też hrabstwo stanowisko jakoby prymatu w kolonii polskiej. Tam też poznali Józefowie księdza Wacława.

Gdy już słońce miało się ku zachodowi, zaproponował ksiądz Wacław wycieczkę do lasu, zapewniając, że ztamtąd przepyszny widok na okolice Drezna śród promieni zachodzącego słońca. W lesie spotkaliśmy starego Niemca, niemal już zgrzybiałego. Strugał pręciki na klatki, przyczem trząsł głową i przez zasuszone usta czy mruczał coś, czy nucił, czy też z samym sobą rozmawiał.

„A witajcie panie Thomas“, rzekł ks. Wacław po niemiecku.

„Dzień dobry księdzu“, odpowiedział starzec, podnosząc się z pniaka i uchylając kapelusza.

„Zawsze przy pracy.“

„Jakże bez tego żyć“ odrzekł staruszek uśmiechając się.

„W naszym wieku można już spocząć.“

„O nie, nie; jakbym tu wyspoczywał, to cobym robił na tamtym świecie.“

W czasie tej rozmowy, stanęła Aniela z Gastonem nad przepaścią przy urwisku skały wysokiej i prawie pionowo utoczonej w tem miejscu.

„Hej, hej“ zawołał staruszek „tam niebezpiecznie. Tam mieszka französische Liebe. Niech ta piękna pani nie zbliża się tam z tym panem Francuzem, żeby ich do kompanii nie zaprosili.“

Zdziwiliśmy się nadzwyczajnie tą przestrogą starca i wszyscy zaciekawieni, otoczyliśmy go prosząc, by nam wyjaśnił, co to za „miłość francuska“ mieszka w tej przepaści.

„A na co wam to wiedzieć? To już tak dawno się

stało. Lepiej nie wyciągać wilka z lasu. Niech sobie spoczywają w pokoju. Pan Bóg już ich osądził. Ja już stary, dobrze nie pamiętam.“

„Ci państwo z Polski, to ich zajmie“, rzekł ksiądz Wacław; „ja już słyszałem coś o tem, ale nie mógłbym tak dokładnie opowiedzieć, jak wy panie Thomas.

„A to może ci państwo, co tu w willi mieszkają?“

„Ciż sami.“

„Ha, skoroście już tak ciekawi, to wam powiem. Ale siadajcież na trawie przy pniaku, bo historya długa, kości moje stare i postrzelane przy Berezynie, pod Lipskiem. Bo to ja przecież stary żołnierz z czasów króla Fryderyka Augusta. Ja to przecież Kriegskamerad Polaków, a nawet jakiś czas byłem z moim pułkiem pod komendą księcia Poniatowskiego. Ej, dzielny to był jenerał; drugiego takiego pod Napoleonem nie było. Żeby był nie zginął pod Lipskiem, byłby Blüchera zjadł. Bo to moi państwo na starego lisa Blüchera, to trzeba było takiego polskiego sokoła, jak książę Józef.“

Usiedliśmy wszyscy na trawie naprzeciw starca, a on siedząc na swoim pniaku, nałożył fajkę porcelankę z portretem króla Jana saskiego, zapalił, puścił kłąb dymu i tak dalej mówił:

„Tu, gdzie ta willa teraz, stał dawniej mały domek, a w nim mieszkał leśniczy tych lasów, których już teraz nawet śladu nie widać, bo je wycięto, a ziemię na winnice zamieniono. W czasie wojny, jak Napoleon cofał się z Rosyi, wojska francuzkie zajęły nasze królestwo. Król Fryderyk August stał wiernie przy swoim sprzymierzeńcu Napoleonie i nasze wojska były pod jego rozkazami. Była

z nami część wojska polskiego, a był tam rotmistrz ułanów, dzielny człowiek. Miał on żonę Francuzkę.

Gdyśmy szli do Rosyi, zostawił ją w Dreźnie, a teraz, gdy nieprzyjaciele za nami się posuwali, a w mieście nie było już bezpiecznie, rotmistrz najął domek u leśniczego i umieścił w nim żonę pod opieką starej leśniczyny. W bitwie pod Dreznem został ciężko ranny jeden oficer francuzki, młody, piękny mężczyzna. Rotmistrz kazał go przenieść na leśniczówkę i tu go leczyć i lekarzy opłacał i leśniczynie dał sporo talarów, żeby go pilnowała. Był to podobno syn wielkiego przyjaciela rotmistrza; rotmistrz chciał okazać przyjaźń, opiekując się synem przyjaciela. Ale wnet i rotmistrza przyniesiono na pół żywego. Pokłuty spisami, porąbany, postrzelany, ledwie dawał znaki życia. Wtenczas to i ja wróciłem z pod Lipska do domu, a nie byłem pośród tych, co do księcia Poniatowskiego strzelali, broń mnie Boże. Nogi przyniosłem zdrowe, ale kulami potrzaskane ręce. Nieboszczka matka, pielęgnowała mnie, Panie daj jej niebo i jakoś po kilku tygodniach pozrastały się kości. Z naszego domu było tak blisko do leśniczówki, jak teraz do willi, to też odwiedzałem „Kriegskameradów“ Francuza i Polaka. Francuz wyzdrowiał prędko — ale rotmistrz biedaczysko długo się męczył. Ot, bodajby go Pan Bóg był wziął wtenczas do siebie!“

Przerwał stary żołnierz opowiadanie, głowa mu opadła na piersi, powieki się zwarły i z pod nich wycisnęły się krople łez. Drgały na fałdach pomarszczonej twarzy i wsiąkły w rękaw, którym je obtarł. Nikt nie przerwał ciszy, tylko las przygrywał szumem drzew tym wspomnieniom starca. Zajrzał wreszcie do fajki, wykręcił cybuch,

poszturkał nim o porcelankę, otrząsł popiół, palcem tytoń niedopalony przygniótł i zapaliwszy, pociągnął dymu knastrowego. Rozwiał się kłąb dymu — starzec fajkę z ust wyjął i z właściwem Sasom załknięciem, powiedział niemieckie:

„Ja, ja. Tak to było, tak. Rotmistrz ciężko chorował, a tymczasem żonie jego się nudziło. Piękna pani szukała zabawki. Jak kobieta nie ma co robić, to źle, bo się zaczyna nudzić, a nudy u kobiety są początkiem grzechu. Nabożna, religijna kobieta, znajdzie w Bogu i w modlitwie ochronę od grzechu, podporę w cnocie; ba! ale gdy kobieta nie ma Boga w sercu! Już to biada każdemu, kto wyzuł się wiary, kto stracił adres do Pana Boga, ale stokroć gorzej z tem kobiecie. Mężczyzna bez religii szkodzi sobie, kobieta drugim; mężczyźnie zostaje jeszcze honor, kobiecie już tylko: namiętność grzeszna. Ja to wiem dobrze, bom patrzał na takie kobiety za lat młodych. Taka to była i rotmistrzowa. Francuzica nie wiedziała co kościół, co święto, co biblia — to też nudziło się jej bardzo. Francuz był już zdrów zupełnie — ot i zaczęli się oboje pocieszać, zabawiać. Tymczasem rotmistrzowi sił i zdrowia zaczęło przybywać, dźwigał się z łóżka. Żona mizdrzyła się do niego, wdzięczyła, ale za to opłacała to sobie w uściskach z Francuzem.

Wściekłość mnie ogarniała na to, co się działo, chciałem raz pogruchotać kości Francuzowi, ale uciekł mi z pod kija i unikał tak, żem go nigdy samego już nie spotkał. Rotmistrz nic nie widział, niczego nawet nie przypuszczał. Był już zdrów zupełnie, tylko jeszcze osłabiony. Cieszył się, że będzie mógł wrócić z żoną do oj-

czyzny, bo już nie było do Francyi po co mu jechać. Napoleona wywieziono na Elbę.

Niedługo mu było tej uciechy. Jednego dnia wyszedł sobie o niezwykłej porze na spacer i zobaczył w altanie żonę swoją w najczulszych uściskach z Francuzem. Chciał rzucić się na nich, ale gniew, oburzenie i boleść odebrały mu siły, zachwiał się i omdlał. Kochankowie nie spostrzegli tego, to też pieszczot sobie nawet nie przerywali. Rotmistrz ocknąwszy się, wrócił do swego pokoju i posłał po mnie. Odwiedzałem go nieraz, bo chciał tego, lubiał moje towarzystwo."

„Thomas", rzekł, „jesteś kapralem dzielnego wojska saskiego, to wiesz, co to honor znaczy. Thomas! tyś mi Kriegskamerad, musisz mi usłużyć. Będziesz świadkiem w pojedynku."

Domyślałem się o co rzecz idzie, to też powiedziałem, że lepiej, by mi pozwolił w swojem imieniu Francuza kijem obić; prosiłem, by życia nie narażał na stratę, skoro już szczęście i żonę utracił, ale wszystko było daremne. Uparł się, bo chciał uszanować oficerski honor Francuza.

„Dziś wieczorem, gdy księżyc w pełni się pokaże, przynieś dwie szpady do lasu, pod skałę, a teraz do widzenia kochany Thomas".

Potem długo pisał listy, układał pieniądze, związywał jakieś pakiety. Nad wieczorem poszedł do Francuza i wyszli obaj jakby na spacer. Ona nic o niczem nie wiedziała, a i Francuz nie spodziewał się niczego. Zaledwie księżyc zszedł, stanęli nad skałą, gdzie już czekałem ze szpadami.

„Przyjąłem cię jak przyjaciela w dom", rzecze rot-

mistrz do Francuza „przytuliłem jak ojciec, a ty mi wydarłeś honor i szczęście. Powinienbym cię ubić jak psa, ale pamiętam, żeś oficerem, że twój ojciec był moim przyjacielem, dla tego pozwalam ci się zabić i staję ci z bronią w ręku. To nasz towarzysz broni, świadek pojedynku, a to szpady: wybieraj!“

Francuz skamieniał.

„Wybieraj“, krzyknął rotmistrz.

Francuz wziął szpadę. Stanęli nad skałą.

Po kilku minutach stoczył się Francuz w przepaść; szpada rotmistrza rozpruła mu serce. Rotmistrz stał chwilę nad przepaścią, ponury, nieruchomy, wydawał się jak posąg przy bladem świetle księżyca. Po długiej chwili, wyciągnął do mnie rękę i:

„Dziękuję ci kolego“, powiedział. Potem uściskał mnie serdecznie, zdjął z palca sygnet i dał mi zaklinając, bym wziął na pamiątkę. Odprowadziłem go do domu, chciałem przy nim pozostać, ale mnie prosił, bym go opuścił. Uściskał mnie raz jeszcze i...“

Tu starzec opuścił rękę z fajką, a drugą podniósł ku oczu i wycisnął kułakiem łzy, które też i w naszem towarzystwie cisnęły się na twarz. Cała ta historya i widok owego starca, co ją z takiem rozrzewnieniem opowiadał, rozrzewniły nas, sposępniły. Nawet zawsze wesoły Gaston, chociaż zapewne mało co rozumiał z niemieckiego opowiadania starca, przecież zdawał się ulegać wrażeniom, bo nie ma może tak zimnej duszy, którejby łza starca nie rozgrzała.

„Ja, ja. Już późno, a do końca jeszcze daleko. Państwo się znudzicie.“

„Mówcie, panie Thomas, prosimy bardzo“, rzekł ksiądz Wacław.

„Ha, to słuchajcie. Otóż pożegnałem rotmistrza i poszedłem do domu, alem spać nie mógł. Rotmistrz po mojem odejściu padł na kolana i modlił się długo i płakał jak dziecko. Potem uspokojony, poukładał wszystko w swoim pokoju i poszedł do żony. Rotmistrzowa nie spała jeszcze, siedziała na werandzie. Może czekała na Francuza. Rotmistrz zbliżył się do niej spokojnie i jakby nic nie zaszło, rzekł:

„Piękna noc; tak jasno, ciepło. Przejdźmy się na chwilę. Czegoś spać nie mogę. Może dlatego, że miałem dziwny sen tej nocy. Wy kobiety lubicie słuchać opowiadania snów. Może cię to zajmie, więc ci opowiem.

Wyszła z mężem. Szli obok siebie; ona cokolwiek niespokojna, a może niezadowolona, że jej schadzka z Francuzem przepadnie; on osłabiony i chwiejący się.

„Cóż to za sen taki“, rzekła rotmistrzowa, próbując przymilenia.

„O! ciekawy, powiadam ci: bardzo ciekawy. Otóż śniło mi śię, że ja ci się już sprzykrzyłem, że mnie kochać przestałaś, że...“

„Cóż znowu?“

„Ależ to sen tylko. Śniło mi się, że cię zastałem w altanie, z oficerem francuzkim...“

Rotmistrzowa spojrzała z przestrachem na męża. On się uśmiechnął.

„Czy cię ten sen przeraża? Widzisz ja się śmieję z tego snu, a ty się go lękasz...“

Już byli w pobliżu tej skały, z której przed chwilą

stoczyło się ciało Francuza, a nad którą to zatrzymał się dziś ten pan oficer z tą piękną panią.

„Wówczas wyzwałem Francuza i zabiłem go w pojedynku. Zabity toczył się z tej skały. Potem ja przyprowadziłem tu ciebie, powiedziałem ci: niech ci Bóg wybaczy i...“

Nie dokończył już rotmistrz, bo w tej chwili gdy to mówił, stanął plecyma nad samą przepaścią, i w mgnieniu oka strzelił do siebie z pistoletu, a ciało się zachwiało i runął w przepaść.

Na odgłos strzału wypadłem z mieszkania. Biegnę, dokąd echo mnie wiodło. Nad przepaścią jeszcze wije się dym z silnego naboju — a ku leśniczówce z przerażającym krzykiem biegnie rotmistrzowa.

Zamknęła się w mieszkaniu. Co się z nią działo, tego nie wiem — dość, że nad ranem już i jej ciało rozbite znaleziono w przepaści. Pochowałem ich wszystkich; spuściznę po rotmistrzu odesłałem według adresu, który pozostawił wraz z listem do mnie.

Oho! już księżyc wyjrzał. Uciekajcie do domu. Ludzie powiadają, że tu niebezpiecznie w noc księżycową po nad przepaścią, gdzie się pogrzebała französische Liebe.“

„Dobranoc, Bóg z Wami. A pomódlcie się za tych nieszczęśliwych!“

Odszedł starzec, a myśmy w milczeniu las opuścili i nie wstępując do willi, obaj z księdzem Wacławem, zabrawszy i Gastona, puścili się do domu. Francuz dopadł jeszcze do statku, my zaś rozmarzeni, udaliśmy się piechotą, bo to zaledwie pięć kilometrów do Drezna.

Długie milczenie, przerwał ksiądz Wacław.

„Smutna to historya Thomasa, ale przejdźmy od

umarłych do żywych. Czy pan znasz dobrze panią Anielę? Pana Józefa poznać nie trudno, więc też o niego nie pytam.“

„Dlaczego ksiądz dobrodziej pytasz się o nią?“

„Lękam się bardzo, aby się na niej nie powtórzyła historya rotmistrzowej. Byłem u nich zaledwie kilka razy, ale z tego, co widzę i z tego, co mówią, miałbym nie mało powodów do obawy. Wybacz, że wyrażam się tak otwarcie. Wiem, że jesteś kuzynem i przyjacielem, więc dyskrecya ta wobec pana niepotrzebna, a nawet może byłaby szkodliwa. Musimy ją ocalić. Trzeba mi atoli znać jej przeszłość.“

„Myślałem o tem samem, to też cieszę się, żeśmy się jak sojusznicy sprzęgli do jednego dzieła. Historya Anieli jest podobną do wielu, jakieby opowiedzieć można w naszym kraju, gdzie zapanowała moda powierzania edukacyi panienek francuzkim guwernantkom. Ta tylko zachodzi tu różnica, że Aniela w dziesiątym roku życia straciła matkę, kobietę świętobliwej zacności. Ojciec jej w gruncie człowiek poczciwy, ale lekkomyślny, hulak, karciarz, majątek trwonił, a miłość do córki objawiał w ten sposób, że jej sprowadził guwernantkę Francuzkę, która jej wpoiła teorye Darwina, odarła ją z wiary, zamieniła w pół sawantkę a w pół marzycielkę. Sawanterya i marzycielstwo nie złamały, nie zatruły Anieli serca, ale je okryły lodem. Utrata wiary nie pozbawiła jej poczucia moralności, ale ją pozbawiła zamiłowania w cichem życiu domowem.

Panna Aniela zaczęła nudzić się na wsi, gdy już w pannę dorosła. Ojciec wyniósł się do miasta, bo mu to bardzo dogadzało, gdyż tu mógł przyjemniej hulać i

tracić fortunę. Czując wyrzuty sumienia, że nie dawszy należytego wychowania córce, pozbawia jej jeszcze i mienia, chciał zagłuszyć sumienie słabością, nawet uległością dla córki. Panna Aniela korzystała też z tego i używała swej przewagi, by się bawić i używać wielkiego miasta. Bale, teatr, opera, stroje, wycieczki do wszelkich zdrojowisk, oto jedyne jej było zajęcie, jedyna przyjemność, jedyna treść życia. W życiu tak ruchliwem, nie było czasu myśleć poważnie. Magazyn mód stał się jej konfesyonałem, balet kościołem, a żurnal książką do modlenia. Ale w krótce wyczerpywać się zaczęła fortuna jej ojca, aż dnia pewnego ujrzał się zupełnie zrujnowanym. Majątek sprzedano na licytacyi, ojciec Anieli umarł ze zmartwienia, a ona dostała się do krewnych swej matki. Tam ją poznał Józef, zakochał się i ożenił. Lękałem się zawsze o Józefa, ale gdy im Bóg dał syna, a potem córkę, cieszyłem się nadzieją, że uczucie macierzyństwa przerobi ją, podniesie, uzacni, rzuci do stóp Bożych. Zrazu nawet zdawało mi się, że tak się już stało. Przez dwa lata ich nie widziałem, dopiero tu ich spotykam, a to, co mi Józef mówił i co widzę, napawa mnie obawą taką samą, jakiej ksiądz dobrodziej doznajesz.“

„Dlaczego ten pan Józef nie zdobędzie się na większą energię wobec żony?“

„Bo jest do przesady szlachetny. Nie odmawia jej niczego z obawy, by go nie posądziła, że to czyni z powodu, iż mu nie wniosła posagu. Jest tak delikatny, że nigdy nie dopuszcza, aby go o co poprosiła, jeno sam stara się odgadywać jej myśli.“

„Niech Bóg czuwa nad tym poczciwym człowiekiem“, zakończył ksiądz Wacław.

W rozmowie czas zeszedł tak prędko, że aniśmy się spostrzegli, kiedy strumienie światła gazowego trysnęły nam w oczy około Waldschlösschen. Byliśmy już w Neustadt — a za chwilę przeszedłszy most na Łabie, zdążaliśmy już każdy do swego mieszkania.

IV.

Nazajutrz rano zaspałem cokolwiek dłużej, bo mi długo w noc spać nie dało opowiadanie starego Niemca. Zbudził mnie dzwonek u drzwi, zaledwie oczy przetarłem, zobaczyłem przy łóżku Józefa.

„A ty co tu robisz tak wcześnie?“ spytałem się przestraszony, myśląc, że może nastąpiła druga edycya „francuzkiej miłości“.

„Kaziu! A tobie co się stało, czegóż się tak przestraszyłeś?“ rzekł Józef wesoło.

„Bo tak niespodziewanie się zjawiłeś.“

„Wyobraź sobie, jakie to te kobiety. Anielcia wróciwszy wczoraj z lasu, pobiegła wprost do dzieci, które już spały. Rzuciła się na Stasia, zaczęła go pieścić, aż się chłopczyna rozbudził; potem znowu powtórzyła to samo z Jadwinią.“

„Nie spijcie, nie spijcie moje anioły, wołała i pieszcząc dzieci“, rozpłakała się tak rzewnie, że dzieci widząc to, zaczęły same zanosić się od płaczu. Wszedłszy na tę scenę, przestraszyłem się myśląc, że które zachorowało. Zobaczywszy mnie Aniela, rzuciła mi się na szyję, potem zaczęła całować po rękach i prosiła, abym z nią pojechał zaraz raniutko do Drezna, bo chce być u spowiedzi u księdza Wacława.

Przyjechaliśmy, Anielcię zostawiłem w katedrze z księdzem Wacławem, a sam wpadam do ciebie na „dzień dobry“. Ale cóż tobie się stało? Czegóż ty znowu płaczesz? A cóż u licha podziało się z wami? Czyście z tego lasu łzy wynieśli, że tak wszyscy płaczecie? Kaziu! Co tobie do licha.“

„Zdaje ci się, nic mi; ot tak przypomniałem sobie coś smutnego.“

„Ej, to zapomnij.“

„O, zapomnę, zapomnę, bo to złe już nie wróci.“

* * *

W kilka dni na prośby Anieli, Józefowie wrócili do domu. Aniela prosiła mnie na pożegnaniu, bym od niej staremu Niemcowi zaniósł piekną tabakierkę złotą w upominku, a księdzu Wacławowi zostawiła fundusz na wybudowanie kapliczki nad przepaścią „francuzkiej miłości.“

Gdyśmy się zeszli z księdzem Wacławem uściskaliśmy się z radości, nie umiejąc się inaczej powitać.

„Dziwne są drogi Opatrzności“, rzekł ksiądz.

„Słusznie willę Wachwitz nażwał Józef swym rajem, bo teraz wierzę, że raj ztąd wywiezie.“

Nie zawiodłem się. Kiedym w jesieni tego roku był u Józefów, zastałem Anielkę z kluczami w ręku, wydającą w spiżarni dyspozycye. Rumiana była, wesoła, a twarz jej promieniała szczęściem. Kiedym nazajutrz rano zaszedł do pokoju dzieci, by uściskać Stasia i Jadwinię, Aniela klęczała z dziećmi pod obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej i sama z niemi mówiła pacierze.

Komedya w Pace.

Kontury z widoków małego miasta.

W ośmnaście lat po ukończeniu uniwersytetu, po ośmnastu latach służby rządowej, mając wiele Belobungsdekretów, doczekałem się wreszcie tego szczęścia, że zostałem mianowany adjunktem w sądzie obwodowym, z płacą tysiąca i stu guldenów rocznie. Chwała Bogu! będę się mógł wreszcie ożenić z Sewercią. Śliczna ta moja Sewercia, a poczciwa, a gospodarna, a wykształcona! Rodzice nie chcieli jej wydać za mnie, bo aż dotąd byłem auskultantem, pobierającym sześćset guldenów adjutum.

Otrzymawszy od naczelnika sądu w Tyczynie uwolnienie od służby, pędzę, co tchu do miejsca nowego przeznaczenia, a że miałem tam kilku kolegów szkolnych na rozmaitych posadach, jechałem śmiało, licząc na ich pomoc w urządzeniu się, w poznaniu miasta i jego stosunków.

Kazałem się zawieść z dworca do hotelu Krakowskiego. Hotel wcale porządny, sklepy w pobliżu wyglądają na wielkomiejskie, jest niedaleko dobrze urządzona

kawiarnia, cukiernia wcale przyzwoita, a gdyby nie falanga faktorów przed hotelem Krakowskim, można by myśleć, że się jest w prawdziwem mieście, bo nawet latarnie gazowe biją w oczy przybysza.

Jednym z najdawniejszych, a najserdeczniejszych moich kolegów szkolnych był Władek Emilkiewicz, obecnie adwokat, radny miasta i wpływowa osobistość w mieście, co było siedzibą sądu obwodowego. Pędzę do niego na Podwale.

„Jest pan mecenas?“

„Wyszedł na posiedzenie towarzystwa strzeleckiego, ale niebawem wróci.“

„A gdzież posiedzenie się odbywa?“

„W ogrodzie strzeleckim.“

„Gdzież ten ogród?“

„A, to pan nietutejszy, jak widzę. Minie pan kasę oszczędności, potem na lewo w dół koło gimnazyum na ulicę Seminarską, pod kościół ks. ks. Filipinów. Na końcu tej ulicy jest ogród strzelecki.“

Grzeczny pisarz z kancelaryi Władka, pokazał mi gmach kasy oszczędności, dość gustownie w stylu renesansowym zbudowany, to też bez trudności zaszedłem na drogę, prowadzącą do ogrodu strzeleckiego.

Nie dziwcie się, że przybywszy z Tyczyna, gdzie mi tylko młyny pana Wodzickiego imponować mogły i piękny widok w stronę Kielnarowy, dziś pustej i cichej, jak tyle siedzib niegdyś zamożnej, wesołej i gościnnej szlachty; nie dziwcie się, że z partykularza przybywszy do miasta, co się trzeciem w kraju zwało, rozglądałem się po ulicach. Piękna alea kasztanów ocieniała mi drogę przed skwarem słońca, a ku końcowi ulicy brakło już cienia, a na-

tomiast schludne kamieniczki pootwierały okna, jakby uradowane, że słońce się na zachód przesunęło i już ich od strony wschodniopołudniowej nie smaga rózgą palących promieni.

W jednem z okien, piękna kobietka z cwikerem na zgrabnym nosku, wychyla się ku ulicy, a za nią widać w oknie wyczesanego z wiedeńska panicza o wąsie w górę zakręconym. Coś jej szepcze, a ona niby słucha, niby się gniewa. Co to za jedni? Gdyby tu był mój przyjaciel Kajcio, pewnieby z tego obrazu wysnuł powieść w trzech tomach. Ej, może to małżeństwo pogniewało się w miodowych miesiącach, kiedy to zwykle kobiety zaczynają rekognoskować słabe strony swych mężów, by w nie szturmem, jak w twierdze uderzać, zwyciężać i jeńców brać w niewolę pod... pantofel. Czyżby to wszystkie kobiety miały być takie? Nie, moja Sewercia jest wyjątkiem, prawdziwym, wszechstronnym wyjątkiem.

Byłbym dłużej rozmyślał nad psychicznym ustrojem kobiet, gdyby sąsiednia kamieniczka nie zaciekawiła mnie i pięknym rysunkiem elewacyi i oryginalną z karyatyd ornamentyką. Karyatydy potworne rozpięły się około parteru, a śród nich, jakby śród dwu zaklętych w głazy olbrzymów, pokazała się w otwartem oknie męzka, brodata głowa, nakryta czerwonym fezem, przystrojona w okulary, które spowijał kłąb dymu, puszczanego z papierosa.

Mimowoli zatrzymałem się, stanąłem frontem do zaklętych w głazy olbrzymów i ich więźnia. Właściciel fezu widać mnie spostrzegł, dźwignął się, wyprostował i popatrzał energicznie. Gdy się nie ruszałem z miejsca, zdjął okulary, przetarł je do światła, założył, poprawił na nosie i oparłszy ręce na oknie, jakby na mównicy, rzekł gło-

sem wymierzonym, deklamacyjnym, jakby heksametry skandował.

„Kogo pan szuka? jeżeli zapytaćby wolno.“

„Strzeleckiego ogrodu, łaskawy panie.“

„Tego pan przecież nie znajdzie w mem oknie.“

„Podobają mi się bardzo karyatydy.“

„A proszę, to z pana znawca jest sztuki“ odezwał się właściciel fezu, zmieniając deklamacye z rytmu heksametrycznego, na lekki ton jambiczny, zakończony trochejem.

„Tak panie! lubię bardzo i architekturę i piękną deklamacyę. Dziękuję za jedno i drugie. A czy daleko jeszcze do ogrodu strzeleckiego?“

„Wielbiciela piękna sam zaprowadzę na łono piękności, spowite hojnością przyrody i mistrzowską dłonią artysty“ zadeklamował bez rytmu właściciel fezu podnosząc ręce, jakby chciał z ambony lud błogosławić, lub story u okien zapuszczać i zniknął w głębi.

Przestraszyłem się tej uprzejmości deklamatora, przewidując, że będzie nudna, ale nie wypadało uciekać. Nie było też czasu, bo zaledwie zmieniłem front i postąpiłem kilka kroków, zjawia się właściciel feza i złotych okularów, w cylindrze, anglezie, wyprostowany dość pretensyonalnie, pozując na wielką powagę.

„Doktor filozofii Filemon Radlewicz, profesor gimnazyalny“, przedstawił się, uchylając kapelusz z wielką powagą.

„Doktor praw obojga Atanazy Kowalowski, adjunkt sądu obwodowego“, odpowiedziałem naśladując powagę profesora.

„Bardzo szczęśliwy jestem, mając zaszczyt poznania pana sędziego, o którego nominacyi wiem już z dzienników.“

„Istotnie, prawdziwe to szczęście, że na wstępie do miasta spotykam znakomitego profesora.“

„Pan sędzia bardzo łaskaw.“

„O! panie.“

Profesor zaprowadził mnie do ogrodu strzeleckiego, ale na przejście tysiąca kroków, straciłem pół godziny czasu, bo rozmawiając miał zwyczaj stawać, zachodzić drogę towarzyszowi i trzymać go za guzik od surduta.

W ogrodzie nie zastałem Władka, było już bowiem po naradzie; powiedziano mi, że wprost z posiedzenia pojechał do majątku, który w pobliżu kupił niedawno. Chciałem wrócić do miasta, zająć się wyszukaniem mieszkania, sprowadzeniem rzeczy; rozpatrzeć się, odpocząć i po niespanej nocy i po skwarze i po rozmowie z profesorem, ale trudna sprawa. Doktor filozofii pan Filemon Radlewicz ofiarował mi się za doradcę i przewodnika i nim wróciłem do hotelu, minęły trzy godziny, słońce miało się ku zachodowi, a trzeci guzik u mego surduta, chwiał się na poprzerywanych niciach. Profesor wykładał mi z wielkiem przejęciem o pięknościach tragedyi Sofoklesa i mądrości Platońskiej filozofii.

„Zanim będę miał zaszczyt oczekiwać pana sędziego u siebie, proszę tymczasem do paki, a tam pan sędzia pozna inteligencyę naszego miasta, spoczywającą po pracy.“

„Cóż to za paka, do której mnie pan profesor zaprasza?“

„W tym samym hotelu jest handel Młynarkiewicza. Piwo doskonałe, towarzystwo miłe, szczególniej w pace.

„W jakiejże pace?“

„Zobaczysz, panie sędzio, zobaczysz najmilszy w świecie króla Gambrynusa przytułek.“

To rzekłszy, sięgnął do czwartego guzika, uśmiechnął się, podał mi rękę z powagą króla siamskiego i zwolna odszedł, założywszy w tył ręce, w których kiwała się laska z białą gałką, a głowę podniósł do góry tak, że dobrze widziałem denko kapelusza.

„Chwała Bogu!“ westchnąłem i uciekłem do Władka. Wiedząc, iż od lat wielu żonaty, spodziewałem się zastać go wieczorem w domu.

„Czy pan mecenas powrócił?“

„Właśnie wyszedł do swej kamienicy na Seminarskiej ulicy.“

„Zapewne długo nie zabawi?“

„Ztamtąd prawdopodobnie na chwilę pójdzie do paki.“

„Do paki?“

„Tak się nazywa lokal w handlu Młynarkiewicza, w hotelu Krakowskim.“

Zostawiłem bilet, dopisałem „Hotel Krakowski nr. 27“ i skwaszony zwracam się ku owej pace, ale z wielkim strachem, by znowu nie popaść w ręce dr. Filemona Radlewicza.

Kilka pokojów ciągnęło się w amfiladzie, a wszystkie zapełnione, gwarne. W pierwszym pokoju nie było na szczęście mego profesora. Pocieszony, zasiadłem do piwa obok kilku mężczyzn, żywo się spierających.

„Ależ panie!“ mówi okrągły, pyzaty, we faworyty ustrojony mowca „to przecież nie ma sensu taki zarząd proponować. Panowie chcecie już w samym zarodku zabić stowarzyszenie.“

„Niech pan komornik wybaczy“, odezwał się wy-

suszony, czy uwędzony brunet z długą hiszpanką, „nam chodzi o instytucyę, a nie o ludzi.“

„Ha! ha! ha! pan sekretarz panie tego, chce instytucyi, panie tego, bez ludzi, a czemże panie tego, stowarzyszenia się tworzą panie tego, jeżeli nie ludźmi?“ tubalnym głosem rąbał trzeci piwosz z tego towarzystwa, gruby, czerwony, a jak mu patrzało z miny i czupryny: bardzo energiczny.

„Ależ panie!“ przerywa komornik, „bardzo dobrze pan mówisz, ależ panie! pan sekretarz mówi o instytucyi, pragnie jej, ależ panie, a chce ją zgubić w samym zawiązku. Pańscy kandydaci, to sami adjutanci Złotowicza, a przyznasz pan, nie możemy się dać teroryzować żydom.“

Ostatnie słowo wyrzekł komornik z wielkim naciskiem i uderzył szklanką o stół.

„I cóż z tego?“, rzekł po chwili słodkim głosem uwędzony brunet. „I cóż z tego, że dr. Złotowicz jest żydem? Wszakże muzyka jest bezwyznaniona, a skoro chcemy założyć towarzystwo muzyczne, religia dr. Złotowicza nic nam nie przeszkadza. Powtóre, oświadczyć muszę stanowczo, że nie kierujemy się w wyborze kandydatów do zarządu, względami partyjnemi, tylko...“

„Ależ panie!“, wrzasnął komornik.

„Panie tego!...“, zahuczał gruby.

„Słucham panów“, rzekł po pauzie słodziutki brunet, tak spokojnie, jakby spokój jego miał się w odwrotnym stosunku do irytacyi towarzyszów.

„Ha, panie tego, jakież to względy?“

„Ależ panie, cóż pan powie?“

„Kierują nami jedynie te względy, by ci co mają być na czele towarzystwa muzycznego, na muzyce się znali.“

„Złotowiczanie znawcy do wszystkiego. Czytelnię zakłada Złotowicz, radą miejską trzęsie... Złotowicz, do sejmu posłów wysyła... Złotowicz. Ależ panie!...“

„Panie tego, jeszcze chcecie by nam grał panie tego, a my tańcowali jak nam zagra panie tego!...“

„Któż winien, że to człowiek energiczny, czynny, a pełen dobrej woli?“

„Ależ panie tego, żyd panie tego. Ja tu mam innych kandydatów, my musimy ich wybrać. Nie robię sekretu panie tego, nie robię. Czytaj pan. Dr. Uferski, radny miasta Marcowicz, sędzia...“

„Przepraszam, łaskawy panie. Czy wolno na chwilkę przerwać?“

„Ależ panie!“

„Panie tego!“

„Wszak Marcowicz żyd, panowie, i mamyż służyć... żydom i tańczyć jak nam zagrają?“

„Ależ panie! Cóż to ma do rzeczy?“

„A tak, panie tego, wszak najsławniejsi muzycy panie tego, Mendelsohn, Majerbeer... Panie te...“

Nie dokończył gruby, bo właśnie wszedł wyczesany z wiedeńska wysoki mężczyzna, z wąsem w górę zakręconym, i przystąpiwszy posuwiście do trzech piwoszów, witać się zaczął kordyalnie.

„Już się kłócicie, jak widzę z miny eskulapa“, rzekł tonem protekcyonalnym przybyły.

„Panie tego, mój mecenasie, sekretarz tu agituje za Złotowiczem...“

„A wy za Marcowiczem? Wszak prawda?“

„Ależ panie, mój Władziu, ty żartujesz ze wszystkiego.“

„Tak panie tego, żartujesz...“

„Może z ciebie, eskulapie? Ot, dajcie spokój, jutro w kasynie „zgromadzenie notablów“ w sprawie Towarzystwa muzycznego, tam będą dyskusye. Tymczasem wam powiem, że najlepiej dać spokój Złotowiczom i Marcowiczom, wyzwolić się z pod panowania tych żydów, a wybrać zupełnie niezawisłych. Możebyśmy się napili dobrego zieleniaczku? Co? Hej, panie Antoni, proszę tu tego zieleniaczka, cośmy go wczoraj pili na śniadanie.“

Przypatruję się ciekawie fundatorowi zieleniaczka, bo twarz mi coś znana, głos mi się przypomina. Wino przyniesiono, fundator przesunął się z krzesłem, płomienie gazowe oświetliły go całego.

Wszakże to ów małżonek, czy amant z Seminarskiej ulicy; ten sam, widziałem go za plecyma ślicznej brunetki o zgrabnym nosku, dźwigającym cwikier. Musiałem go dawniej już widzieć, bo głos mi dobrze znany.

„Na pomyślność towarzystwa muzycznego i jutrzejszej dyskusyi!“ rzekł fundator wina i wszyscy czterej podnieśli kieliszki.

„Ale panie...“

„Panie tego...“

„I zamysłów mecenasa“ dodał słodko zasuszony.

„Dziękuję ci, sekretarzu.“

„Gdzie się dwóch kłóci, tam trzeci zyskuje“, dodał sekretarz jeszcze słodziej.

„Do czegóż zmierzasz?“ zapytał mecenas.

„Powiedziałem tylko przysłowie.“

„Tym trzecim będzie sprawa publiczna, będzie towarzystwo muzyczne!“ rzekł z powagą i naciskiem mecenas.

Teraz już wiem. Wszak to Władek Emilkowicz. Że go też nie poznałem? Bą! przecież to lat dwanaście, jakeśmy się widzieli. Zmienił się nie do poznania.

„Przepraszam panów, że przerywam. Chciałem z mecenasem wymienić dwa słowa.“

„Proszę“ rzekł Władek, wstając z krzesła. „Z kimże... A! Tozio! Zkądże się wziąłeś?“

„Siedzę tu od godziny i czekam na ciebie, bo szukam cię od południa.“

„Niechże cię uściskam. Tozio — a, to wybornie. Siadajże z nami.“

„Nie mogę, zmęczony jestem, muszę uciekać, ale jutro gdzie i kiedy?“

„Rano, raniutko, proszę cię. A! jakże się cieszę! Szkoda, że nie chcesz zostać.“

„Coś tam w pace gwarno“, rzekł słodziutki sekretarz.

„Ale panie, co oni tam robią?“

„Panie tego, co tam takiego?“

To rzekłszy, powstali wszyscy trzej i zaglądali przez na pół oszkloną ścianę do dużej sali sąsiedniej, gdzie istotnie potęgowało się ożywienie.

„Ot, zostań jeszcze chwilę, poznasz na wstępie tutejsze życie. Do paki trudno się dostać, ale otwórzmy drzwi.“

Przez otwarte drzwi widać było poruszenie u wszystkich stolików, kilkadziesiąt osób zbliżyło się do stołu, za którym stał teraz pulchny, okrąglutki niemłody mężczyzna i kłaniał się na wszystkie strony.

„Zdrowie solenizanta, pan rejent Wilczura niech żyje!“

„Wiwat!“ wrzasło kilkadziesiąt osób.

„Panowie!“ zawołał pan rejent Wilczura. „Panowie, tyle łaski, tyle pamięci.“

„Wiwat!“ powtórzył się okrzyk.

„Proszę o głos“, zawołał przystojny blondyn z pełną, dobrze ułożoną brodą i dzwonił o szklankę nożem.

„Pan Franciszek prosi o głos“, zawołano.

„Panowie“ zaczął pan Franciszek, „tak zasłużonemu mężowi, jak pan rejent, oddaliśmy dzisiaj hołd w przeddzień solenizacyi, w tem naszem Tusculum, ale wychylimy toast za jego zdrowie nie piwem okocimskiem, ale węgrzynem.“

„Brawo! brawo!“

„Pan rejent, panowie, jako mąż tak zasłużony, ma prawo wyczekiwać, byśmy się zgromadzili jutro wieczorem w jego domu i wobec czcigodnej małżonki złożyli uroczyste życzenia.“

„Brawo! brawo!“

„Panowie!“ zawołał z wysileniem Wilczura — a głos drżał mu i tętniał, jakby przestrach i przerażenie w nim się rozlewały! „Panowie! zbytek łaski, nie zasłużyłem, skromny jestem człowiek; przyjmuję wasze chęci, nie śmiem fatygować. Takie dystynkcye tylko zasłużonym należą. Czem chata bogata, przyjąć zawsze rad jestem ale nie dla mnie zaszczyt taki. Panowie!...“ nie dokończył, bo głos drżał coraz mocniej, coraz więcej było w nim bemołów, coraz silniejsze tremolanda graniczące z łkaniem.

„Skromność jest ozdobą znakomitych ludzi, jest ich cnotą, ich cechą“, zawołał p. Franciszek „ale obowiązkiem naszym spełnić akt czci i uwielbienia. Chociaż skromność

każe się panu rejentowi wymawiać, poczucie obowiązku nakazuje nam spełnić powinność.“

„Niech żyje pan rejent“, zawołano znowu i porwano go na ręce.

Pulchny solenizant trzepał rękoma po nad głowami, wołał, prosił, ale głos jego tonął bez śladu w wiwatach, aż wreszcie i cała jego figura zapadła się śród tłumu.

Uciszało się zwolna w pace, a we drzwiach ukazał się pulchny solenizant w staroświeckim cylindrze. Głowę pochylił ku piersi i rękoma ubranemi w czarne rękawiczki, niespokojnie przebierał. Tuż za nim postępował mowca pan Franciszek.

Ja tymczasem spijałem zieleniaczka przy Władku, zaznajomiony i z komornikiem i ze słodkim sekretarzem i z grubym eskulapem.

Pan Wilczura szedł zamyślony i byłby nas nie spostrzegł nawet, gdyby Władek nie powiedział:

„Dobry wieczór panu rejentowi.“

„Najniższy sługa pana mecenasa“, odpowiedział smutno pan Wilczura.

Pan Franciszek tymczasem grzecznie się ukłonił naszemu towarzystwu, ale i giest jego i uśmiech miały zakrój z umysłu źle ukrywanej ironii, to też i nader chłodno przywitało go nasze towarzystwo, ja tylko zerwałem się z krzesła i rzuciłem się ku niemu.

„Franek!“

„Tadzio!“

Jakże nie mieliśmy się uściskać serdecznie, skoro od lat studenckich najserdeczniejsza łączyła nas przyjaźń. Było nas trzech po jednej myśli, po jednem sercu, a obu straciłem z oczu przed kilku laty. Kazio zawieruszył się

gdzieś w Poznaniu i nie wiem dokąd go teraz banicya pruska zagnała, a Franuś literatował, pedagogował w Krakowie, aż mi tu wyrósł z „paki“. Butelka zieleniaczka już się skończyła, dla przyzwoitości chciałem podać drugą, ale Władek tak wymownie, tak przekonywująco dla siebie urgował przywilej dysponowania zieleniaczkiem dzisiejszego wieczora, że ustąpić musiałem. Wolałem Franusia, niż wino, więc żegnam i Władka i towarzyszy, by nie opuścić Franusia.

„Do ogólnych owacyi, niech i mnie będzie wolno dołączyć życzenia“, rzekł Władek do pana Wilczury się zwracając.

„A, pan mecenas bardzo łaskaw“, odpowiedział Wilczura i zakręcił długi i wysterczający palec rękawiczki.

„Panie tego, cieszę się bardzo, że kochanego rejenta jutro panie tego wyściskam na imieniny.

„Pan konsyliarz bardzo łaskaw“, powtórzył rejent z uśmiechem na ustach a smutnem skrzywieniem twarzy i zakręcił drugi palec rękawiczki.

I komornik i sekretarz wypowiadali życzenia z osobna, a rejent za każdym razem zakręcał poprute palce rękawiczek, które teraz sterczały u prawej ręki, jak pazury drapieżnego zwierza. Byłby niewątpliwie i u lewej ręki tę samą zrobił operacyę, gdyby więcej było mowców. Ja tymczasem pożegnałem się i za chwilę byliśmy sami z Franusiem, bo rejent szybkim krokiem się oddalił, zacząwszy przy pożegnaniu z nami zakręcać rękawiczki u lewej ręki.

„A cóż to za oryginał?“ zapytałem zaciekawiony.

„Nie szkodliwy, jak wszystkie oryginały“ a nawet do tyla użyteczny, iż bawić się nim można.“

„A jakżeż on może być rejentem?“

„Lucus a non lucendo. Rejentem nie był, ale przez lat dwadzieścia kierował kancelaryą u notaryusza, więc polskim zwyczajem na rejenta awansowany. Dorobił się grosza więcej sprytem, niż oszczędnością, a najwięcej zapobiegliwością żony, kobiety prostej, rubasznej, ale pracowitej i uczciwej. Mają dwie kamieniczki na Ogrodowej ulicy, bezdzietni, żyją zdala od świata i od ludzi. Jej wystarczają prosięta, które wykarmia i sprzedaje, a jemu... pantofel żony i czasem, ukradkiem przed nią, kufel piwa w pace. A że dość głupi, więc też przypada mu niekiedy rola... kołka w preferansie, gdy się rozgrywają jakie sprawy w mieście.“

„A czemużeś go tak okadzał w owej ‚pace‘?“

„Ot, polityka. Ale co tam teraz prawić o rejencie! zobaczysz potem. Wiem, żeś mianowany, cieszę się, że cię widzę i jestem na twe usługi.“

„Cóż ty tu robisz literacie, poeto, pedagogu?“

„Literatem byłem, poetą chciałem być, pedagogiem jestem.“

„I kolegą pana dr. Filemona Radlewicza?“

„Tak, ale historykiem, nie filologiem. — Poznałeś go?“

„Pierwsza moja znajomość.“

„A!“

„Przerażająco nudny.“

„Ale na wskróś zacny i poczciwy, szkoda tylko, że filolog.“

„Czyż to przywilejem filologii, wytwarzać nudziarzy?“

„Po części. Każdy człowiek ulega poniekąd wpływom swego zawodu, ale najwięcej nauczyciel, który przez całe życie zmuszony jest obniżać poziom swej inteligencyi do

poziomu uczniów. Historyk, przyrodnik, profesor języków nowożytnych, ocalają inteligencyę, bo zajmują się przedmiotami, które snują się z życia, ze zjawisk, z akcyi umysłowej. Matematykowi formułki i kombinacye zjadają zwykle zmysł towarzyski i gładkość, to też uprzejmy, jeżeli już nie elegancki matematyk, do wyjątków należy. Aorysty i wszelkie zastygłe formacye gramatyczne zamarłych języków, wraz z literaturą zastygłą, jak lawa wulkanu na gruzach herkulańskich, wytwarzają często z filologów eunuchów umysłowych."

„Wszakże tyle piękna w klasycyzmie starożytnym, tyle wielkości!"

„Nie przeczę. Orzechy bywają zwykle bardzo smaczne, ale kto wiecznie rozgryzą łupy, a orzechów nie kosztuje, połamie zęby, a orzechem się nie nasyci. Niektórzy filologowie gryzą wciąż gramatykę nie po to, by przez nią dostać się do piękna klasycznego, tylko, że chcą gryzienie do perfekcyi doprowadzić. A gdy taki gryzoń owego orzecha skosztuje, to przysięga, że niczem innem karmić się nie będzie i rzeczywiście nie karmi."

Otóż geneza Radlewicza. Oni obaj z rejentem rozweselają całe miasto. Bóg im zapłać za to, bo gdyby nie oni, byłoby tu nudno. Bo to widzisz, gdy nam nie stało organisty w mieście, pozostały dudy, a nie ma w nie kto zadąć.

„A któż to był owym organistą i gdzie się podział?"

„Toś przecie widzieć powinien. Był to człowiek, co miał i rozum i serce, a to podobno dziś rzadkie zjawisko. Ale miał i honor tak krystaliczny, jak u idealnego oficera legii honorowej. Rozum poświęcił sprawie publicznej, serce rozrzucił pomiędzy ludzi, którym pomagał, dla siebie ani

rozumu, ani serca nie miał, tylko honor sobie zostawił. A honor, to kapryśny, a wymagający przyjaciel i nieubłagany. Gdy niczego ten człowiek sobie nie zostawił, a honor domagał się ofiary, oddał mu życie własne w ofierze. Na jednej z ulic naszego miasta znajdziecie jego nazwisko. Tak, tak; nie ma dziś organisty, a są dudy i nie ma w nie kto zadąć.“

„A jakże wy z Emildrowiczem?“

„Nie mów o nim teraz, bo dostanie czkawki i nie dopije zieleniaku. Wyrządzisz mu krzywdę, bo on dziś u Młynarkiewicza ogromnie pracuje tem winem.“

„Nie rozumiem.“

„Chciałby tu w mieście wyleść na wierzch jak migdał na piernik, a trudno być migdałem, gdy się jest spróchniałym orzechem laskowym. Kaptuje winem głupiego komornika, by mu jednał głosy na prezesa Towarzystwa muzycznego; chce spoić doktora, bo mu żonę bałamuci, chociaż ma swoją, zacną i uczciwą kobietę, a sekretarza chce ująć, bo wie, że ten ma rozum i stosunki śród mieszczan.“

„Czyż ty pesymista mój Franiu?“

„Widzisz, żem wesół, że się śmieję. Śmiać się lubię z głupstwa, i wygadać, gdy spotkam takiego jak ty druha. Ba! ale nie spotkałem dotąd, boś dopiero teraz się zjawił. No, jutro będziesz miał mieszkanie i wszystko co ci potrzeba. Do południa ci wyszukam, a na obiedzie złożę ci relacyę. Na obiad musisz przyjść do mnie. Żony nie mam, jak wiesz, i mieć nie będę — ale mam siostrę wdowę i siostrzeńca Kazia i siostrzenicę Halinę. Mieszkamy na ulicy Zbożowej, ostatni dom od koszar na Pogwizdowie! Nie ma wymówek, tak być musi. Dobranoc ci Toziu.“

Uściskał mnie, uciekł i popędził, a wraz z krokami ginął w oddali walc z Gasparone „Mąż panem domu, ach jak to brzmi“. Franuś go nucił.

Tak spędziłem pierwszy dzień pobytu w stolicy sądu obwodowego, którego byłem najmłodszym członkiem.

II.

Nazajutrz z rana byłem u Władzia. Czekał na mnie z herbatą kawalerską, bo juścić zawcześnie było na przedstawienie się jego pani. Po tem i owem, rzekł Władek:

„Nie radzę ci zbliżać się do pana Franciszka.“

„Ależ to mój najserdeczniejszy przyjaciel.“

„Wątpię, czy dziś nim będzie.“

„Takby się miał zmienić?“

„Złośliwy.“

„Przerażasz mnie Władziu.“

„Przyjm tę przestrogę za dowód mej przyjaźni i dawnego koleżeństwa.“

„Może mi się uda przekonać cię, że to uprzedzenie.“

Urwała się rozmowa, zastąpiły ją kłęby dymu z papierosów.

„Czy będziesz łaskaw przedstawić mnie kiedy swej pani?“

„A proszę bardzo, z całą przyjemnością. Zobaczysz moją córkę Zosię. Właśnie jest teraz w domu.“

„Czyż zwykle jej nie bywa?“

„Umieściłem ją u zakonnic w Jarosławiu. Panienka szesnastoletnia potrzebuje i edukacyi i wychowania...“

„Przecież matka i tutejsze zakłady naukowe...“

„Bywają okoliczności wyjątkowe. Moja żona nie ma

tego daru, by pokierować córką, a to moja jedynaczka, a dziewczę lube, zdolne, piękne, godne najpiękniejszego starania i najlepszego losu.“

„Zazdroszczę ci szczęścia rodzinnego, do którego wzdycham, którego wyczekuję, a dopiero teraz mogę się spodziewać, gdy już zostałem adjunktem. Ale czy to nie późno, w czterdziestym roku życia iść do ołtarza?“

„Zależy od okoliczności, ale na każdy sposob lepiej późno jak zawcześnie. Jeżeli jesteś zakochany, doznajesz wzajemności, masz narzeczoną, to ciesz się tem szczęściem, jak nędzarz snem, w którym zyskuje miliony. Nie budź się ze snu, bo na jawie przemówi do ciebie rzeczywistość, jak łachmany do owego nędzarza.“

„Mam to przekonanie, że małżeństwo w miłości związane, jest ziszczeniem na jawie tego szczęścia, o którem marzyło się i śniło przy boku narzeczonej.“

„Oj marzycielu, marzycielu! Narzeczona bywa skrzydlatym motylem, barwnym i ponętnym — a z chwilą gdy została żoną, motyl zamienia się w gąsienicę tem brzydszą, im piękniejszy był motyl.“

„Czy tu u was woda taka, czy powietrze, czy chleb wasz piołunem zaprawny, żeś taki pesymista?“

„To nie pesymizm, ale znajomość życia. Nie powiem doświadczenie, bo jużciż do tego przyznawać się nie lubimy lub nie możemy. Rozpatrz się, zajrzyj za kulisy małżeńskiego życia, a zazieraj tam bodaj przez 24 godzin, ile to znajdziesz gąsienic przetworzonych z motyli. Był sobie miluchny motylek, dziewczę śmiejące się, wesołe, ożywione; wychowanie i wykształcenie jak najlepsze, stosunki rodzinne pociągające, słowem wszystko co składa się na to, by małżeństwo z taką panną, nazwać dobrą

partyą. Ożenił się z nią chłopak młody, zakochany; widział w niej Wenus Medycejską. A cóż się stało w rok po ślubie? Wyobraź sobie, że Wenus Medycejską zakryto ci przed oczyma brudną i podartą ścierką. Znikła wesołość, szczebiotliwość, bo te były na pokaz, jak na wystawie sklepowej, natomiast zjawił się kwas, kaprys, czczość, jałowość duszy i serca, zaniedbanie zewnętrzne, brudne pończochy, rzadko kiedy czesane włosy, ciągły negliż, ospałość, jakaś anemia ducha — coś, co rozstraja, męczy, a wreszcie wypędza z domu i każe uczuwać próżnię około siebie i budzi chęć zapełnienia jej choćby... innym motylem, byle nie kwaśnym, byle uczesanym i bez brudu u paznogci.“

„Zjawisko możliwe, ale czy jego przyczyny nie należałoby szukać po za owym motylem? Czy mąż nie odarł motylich skrzydeł, czy stosunki życia ich nie złamały?“

„Przypuśćmy na pewno, że ani jedno, ani drugie.“

„Choroba, cierpienia fizyczne.“

„Przypuśćmy, że i to nie.“

„Ha, w takim razie żałować wypada męża, który się tak rozczarował.“

„Takie rozczarowanie spotyka wszystkich, a może jeszcze i gorsze.“

„Władziu! uciekam, bom gotów sprzeniewierzyć się mojej narzeczonej.“

Czas do południa zeszedł mi prędko na urzędowem przedstawieniu się i objęciu urzędowania. O pierwszej stawiłem się u Frania.

Jako to miła atmosfera w tej rodzinie! Franio umie być uprzejmym, a zręcznym gospodarzem. Zdawało mi się, że tu przez lat kilka codziennym bywam gościem, tak

mi swobodnie, tak ciepło. Siostra Frania ma bardzo wiele wdzięku raczej tego, jaki daje wysoka inteligencya, niż pochodzącego z układu postaci. Kazio i Halina, milutkie, ładne, dobrze wychowane dzieci. Zachwyciło mnie towarzystwo, to też i obiad wydał się bankietem.

Czarną kawę podano nam w pokoju Frania, a w przyległym saloniku nastąpił koncert, prawdziwy koncert. Matka Kazia z artyzmem nietuzinkowym grała na fortepianie, Kazio z wielką precyzyą, a z jeszcze większem poczuciem grał na skrzypcach. Grano jedną z tych kompozycyi Szuberta, które, jak elegie tkliwe, nigdy mnie nie rażą sentymentalizmem, a zawsze wzruszają.

Wielki znawca muzyki powiedział mi raz, że jestem albo chory, albo nie znam się na muzyce, rozkoszując się Szubertem. Zdaje mi się, że na muzyce niekoniecznie znać się trzeba, aby ją kochać, i doznawać wrażeń, jakie wywiera, a że na mnie Szubert głębokie wywiera wrażenie, chociaż zawsze zdrów jestem, to już widać taki nastrój mego serca. Muzyki słucham sercem i pragnę ją czuć w sercu, a nie rozbierać uchem finezyi karkołomnych pasaży.

Widać, że i Franio rozkochany w Szubercie, bo zamyślił się, wzrokiem w dal pędził, jakby chciał przebić oczyma ściany swego pokoju. Nie wiem, czy przeszłości, czy przyszłości tak szukał, ale to pewne, że o teraźniejszości zapomniał.

Płynęły dźwięki, a z niemi i moje uczucia i moje myśli ku... Sewerci. Płynęły czyste, słoneczne, aż utknęły na gąsienicach Władkowych. Otrząsłem się. Czy i Franio utknął na czem w marzeniu? Czoło mu się zmarszczyło, twarz drgnęła, usta szeptem poruszyły, ręka podniosła i

w pięść zwinęła. Uderzył mię po kolanie, potem podniósł głowę, potarł czoło i... zwracając się ku mnie, uśmiechnął się pogodnie.

„Marzyłeś Franiu?“

„Ot, nałóg, nieznośny nałóg. Przeżuwacze bywają i śród ludzi. Zwierzęta przeżuwają strawę, a ludzie... marzenia. Ale bo też to niekiedy najmilsi towarzysze życia.“

„Jeżeli tkają tęczami przeszłe dni życia.“

„O nie, ja zawsze w przeszłość się cofam. Jeżeliś pogrzebał to, co ci było najdroższem w życiu, to nad mogiłą nie będziesz o przyszłości myślał, ale wspominał zakopane tu życie owej istoty.“

„Mówisz jak nieszczęśliwy, a przecież o ile mi wiadomo, nie straciłeś nikogo; nie pochowałeś ani matki, ani ojca, ani dziecka, boś przecie uparty kawaler, a i humoru ci nie brak, jak widziałem wczoraj.“

„Czy szczęście tylko na tym cmentarzu się grzebie, który otoczony murem, sterczy za miastem kamiennymi grobowcami? Czy nie wyrasta nam niekiedy cmentarz we własnem sercu? A humoru dopatrzyłeś się u mnie. Prawda śpiewam sobie, nawet walce z operetek. Jak to wesoło zaleca się kalina joworom pomiędzy nagrobkami, jak to wesoło świegocą wróble na cmentarnej kaplicy! Ot! źle cię zabawiam Tosiu. To Marynia temu winna, że mi Szuberta zagrała, i ten malec Kazio. Dam ja mu Szuberta. Niech sobie gra Offenbacha, to muzyka dla dzisiejszych serc i sumieni. Zapal no papierosa, zapal, to specyał ma być wielki, przywieziony z Warszawy. Cóż Toziu, kiedyż się ożenisz?“

„Chciałbym i dziś nawet, aby ciebie przykładem zachęcić.“

„Mnie? A na co mi tego? Mam ciepło rodzinne, dom, schronisko, opiekę i cel życia.“

„Ale nie tak drogi, nie tak ukochany, jaki może mieć ojciec i mąż.“

„Do małżeństwa wiedzie droga przez miłość, a tą drogą raz tylko można iść w życiu bez względu, czy się znajdzie nią do ołtarza, czy do samotności.“

„Więc kochałeś i nie poszedłeś do ołtarza?“

„Może.“

Pani Marya i Kazio zaczęli marsz pogrzebowy Chopina.

„Ot masz odpowiedź.“

„Umarła?“

„Żywcem zamurowana, a żyje — ale nie dla mnie. E, może to Bóg cię sprowadził do mnie, bym się wygadał z tego, co dotąd zamknięte było we mnie, zawinięte jak mumia.“

Lat temu kilkanaście poznałem śród zacnej rodziny dziewczę, co mi przypadło do serca i duszy. Zakochałem się. Zrazu nie wierzyłem sobie, myślałem, że to minie, że to zajęcie chwilowe, raczej wyobraźni, niż serca, ale rosło ono, rozrastało się we mnie, rozpływało i przeniknęło na wskroś. Rodzina mi sprzyjała i byłaby mi powierzyła dziewczynkę, ale ona nie okazywała mi wzajemności. Przyjaźną była, życzliwą, ale i chłodną. Nie narzucałem się, ale i nie usuwałem w przekonaniu, że z czasem pozyskam wzajomość. Już złowiłem kilka tkliwych spojrzeń, już rękę zatrzymała raz dłużej w mej dłoni, już czułem, że wzajemność w mej drogiej się budzi, gdy zjawił się wymuskany młodzieniec, co nie zważając na mnie, zaczął bywać w domu i szturmem zdobywać to

serce, które ja tylko oblężeniem pozyskać pragnąłem. Nie byłem po oświadczynach, nie miałem więc prawa zabronić mu szturmu, przytem kochałem się tak, że nie swojego, ale jej szczęścia pragnąłem, i pomyślałem sobie, że jeżeli go pokocha gorąco, a będzie z nim szczęśliwą, to i ja szczęścia doznam, ale już się nie ożenię. Miał majątek, stanowisko, a ja ani majątku ani stanowiska, tylko chęć i siłę zdobycia go raczej dla niej, niż dla siebie. Wymuskany młodzieniec zdobył to serce i ożenił się, a ja... cieszyłem się, że moja najdroższa szczęśliwa. Ba! niedługo tego szczęścia! Dziś wymuskany panicz ucieka od żony, skazawszy ją na samotność, bo nawet jedyną córkę wywiózł na edukacyę do klasztoru a bałamuci cudzą żonę. Tu się zaczyna pogrzeb mojego szczęścia. Możebym się i ożenił, gdybym ją widział szczęśliwą — ale teraz nie mam chęci. Zdawałoby mi się, że to zbrodnia szukać szczęścia, gdy ona go nie znalazła.

Zamilkł Franio, a i mnie się nie brało na rozmowę. Co za zdarzenie! U jednego rywała śniadanie, u drugiego obiad. Bo jużcić to niezawodnie o Władku mowa. A gdyby Franek widział, jaka to z motyla wytworzyła się gąsienica? Ba, pod słońcem jego miłości, możeby dotąd pozostała motylem?

„Widać zły wybrałem repertuar“, rzekła pani Marya wchodząc do nas, „boście panowie albo smutni, albo znudzeni.“

„Może jak zaklęci śród czaru muzyki i dlatego nieruchomi“, rzekłem dziękując jej za muzykę.

„Ożywcież się panowie z tego zaklęcia, a jeżeli wam już potrzeba czarnoksięskiej laski do wyzwolenia z tej zadumy, to wam zaśpiewam wesołą piosnkę. To rzekłszy,

pospieszyła do salonu i wnet usłyszeliśmy tak osłuchaną jednak zawsze powabną ‚La veritable Manola‘.“

„Tak, tak, ‚Alza, alza o la voila, la veritable Manola‘ zaczął nucić Franio. Ot, co tam; zabawimy się dziś wybornie, tylko przyjdź o szóstej do kasyna. ‚Un jupon serré sur les hauches‘...“

Skończyła się pieśń i pożegnałem moich serdecznych.

III.

W sali kasynowej zebrało się kilkadziesiąt osób, a gdy godzina 6. wieczorem uderzyła, za prezydyalnym stołem ukazał się prezes kasyna i zagaił posiedzenie, zdążając w przemówieniu do tego, by mające się założyć towarzystwo muzyczne z kasynem w jedną połączyć instytucyę. Przeciw temu wystąpił gruby doktor i z naciskiem zawołał:

„Panie tego, moi panowie, nic muzyka wspólnego panie tego z kasynem mieć nie może i toby na nic się nie zdało, bo jakbyśmy ferbla grali, toby nam panie tego za uchem rzępolili.“

„Ależ panie, odezwał się komornik, kasyno z takim trudem zdobyło się na salę balową, a tu przeznaczonoby ją na koncerty. Ale panie, gdzieżbyśmy w karnawał tańczyli?“

Jędrnie i gorąco przemówił Dr. Złotowicz za utworzeniem osobnego towarzystwa i wzywał, by nie odraczać sprawy nie zabagniać długiemi naradami, ale zaraz przystąpić do uchwalenia statutów, których projekt miał przygotowany.

Prawie wszyscy obecni za tym wnioskiem głosowali,

więc po stwierdzeniu stanowczej większości głosów, oddał prezes głos dr. Złotowiczowi.

„Projekt statutu opiewa: § 1. Cel towarzystwa.“

„Proszę o głos“, zawołał Dr. Filemon Radlewicz.“

„Dr. Radlewicz ma głos“, rzekł przewodniczący.

„Proszę o głos“, rzekł słodko zasuszony sekretarz.

„Dr. Radlewicz przemawia teraz“, rzekł prezes.

„Ja chcę głos zabrać w sprawie formalnej. Oto zapytuję, czy już dyskusya nad nieodczytanym jeszcze paragrafem otwarta, że dr. Radlewicz przemawiać zamierza?“

„Pragnę zabrać głos w sprawie tytułu samego“ odpowiedział dr. Radlewicz. „Zacni panowie! Wyraz towarzystwo, jakkolwiek lingwistycznie prawidłowy, a logicznie odpowiedni, właściwy, wszelako z estetycznych względów uwłacza wysokiej godności tej wspaniałej sztuki, którą muzyką zowiemy. Mamy towarzystwa zaliczkowe, kredytowe, ziemskie, spożywcze, dróg żelaznych, tramwajów, rękodzielników, przemysłowców...“

„Możeby pan mowca raczył jak najkróciej“ odezwał się przewodniczący.

„Nie nadużyję cierpliwości panów. Otóż mamy towarzystwo: kominiarzy, posługaczy, towarzystwa służące celom poziomym, toż nie godzi się nadawać miana towarzystwa tej instytucyi, która ma służyć muzyce.

Nazwa muzyka pochodzi od muzy, a muzy były siostrami Apollina. Muzyka, czyli po słowiańsku gędźba, najukochańszą była sztuką Apollina, najulubieńszą tego wspaniałego narodu Hellenów, którego cywilizacyą karmi się świat cały po dzień dzisiejszy, który wydał ze swego łona wielkiego Platona, genialnego Arystotelesa, nieśmiertelnego Sokratesa, pełnego grozy Sofokla, rozrzewniającego

Eurypidesa, bohaterskiego Leonida, mężnego Milcjadesa, narodu, który utworzył Iliadę i Odyseę, narodu, który...“

„My nie studenci, umiemy historyę Grecyi“ odezwał się głos w końcu sali.

„Panowie! Tego, co wielkie, co wspaniałe, nigdy dość się nauczyć nie można. Panowie! Tyle sztuk pięknych uprawiali Grecy. Uprawiali poezyę, jak świadczą Homer, Sofokles, Eschylos...“

„Prosimy do rzeczy“, rzekł prezes.

„Panowie! Pan prezes każe mi wracać do rzeczy. Do niej też zmierzam. Grecy uprawiali architekturę, jak świadczy po dzień dzisiejszy wspaniały Partenon. Grecy uprawiali rzeźby, jak świadczy Apollo Belwederski. Grecy uprawiali malarstwo, jak świadczy...“

„Przysłowie: ‚Si tacuisses‘...“, przerwał ktoś mowcy.

„O tak panie, ale źle pan akcentuje po łacinie. Otóż żadnej ze sztuk nie nadali nazwy od słowa muza, jeno gędźbie, bo ona najcenniejszym dla nich była niebios darem bo sam boski Apollo grał i śpiewał, bo tkliwy Orfeusz pokonywał nią dzikie bestye i rozhukane fale morza i wzruszał skały do łez i całą naturę rozczulał.

Otóż tak wspaniałej, tak pięknej sztuce, nie można poświęcać nazwy tak trywialnej, tak spospolitowanej, jak wyraz: towarzystwo. Proponuję, by użyć słowo: zjednoczenie. Uważcie bowiem panowie, jak piękne, jak głębokie jest znaczenie tego wyrazu.“

Szmer powstawać zaczął w sali, kilka osób opuściło miejsce i zaczęło rozmawiać po kątach. Rej wodził między nimi sekretarz, agitując słodko a wytrwale za prędkiem uchwaleniem statutu i prowizorycznym wyborem zarządu

pod kierunkiem dra Złotowicza. W tem zbliżył się do niego jeden ze słuchających i rzekł mu do ucha:

„Marcowicz został dziś wybrany dyrektorem towarzystwa kredytowego.“

Sekretarz otworzył usta, zapatrzył się w mówiącego.

„Dopra...“ nie dokończył wyrazu, potem zerwał się z miejsca, i zwracając do swego kółka:

„Mam pilną sprawę, muszę panów pożegnać“, rzekł dość drżącym głosem i wyszedł.

Uderzyło już wpół do 7., a dr. Radlewicz mówić nie przestawał:

„Jak jeden mąż, jak jedna istota, jednym przejęci duchem, jedną czcią, jednem dla gędźby uwielbieniem, uchylmy czoła i nazwijmy się zjednoczeniem. Panowie! Zjednoczyć, znaczy...“

Na sali zaledwie połowa słuchaczy została. W przyległych pokojach tworzyły się grupy, a gruby doktor energiczne agitował za tem, by wezwać Marcowicza do opracowania innego projektu statutów, a potem będzie można wybrać, który lepszy. Właśnie chciał przekonywać jakiegoś upartego oponenta, już dwa razy „panie tego“ powtórzył, gdy Emilkowicz szepnął mu do ucha:

„Daj pokój, bo nie dostaniesz w kasie pożyczki. Złotowicz mi wspomniał, że masz na wekslu słabe akcepty.“

„A to panie tego, innym razem“, rzekł głośno gruby eskulap „muszę iść do chorych.“

To rzekłszy, powtarzał jeszcze sam do siebie „panie tego“, aż znikł za drzwiami.

„I jakże mielibyśmy się nie zjednoczyć“ toczył rzecz dalej dr. Radlewicz, skoro wzywa nas najulubieńsza gędźba,

skoro prastarzy Słowianie mieli ją nieodłączną towarzyszką modlitwy i boju, doli i niedoli, wesela i żałoby, urodzin i pogrzebu...“

Jeszcze tylko trzech słuchaczy zostało na sali.

„Nasi lirnicy, a nasi gęślarze, byli w największem poszanowaniu, co mówię? oni czci i uwielbienia doznawali u słowiańskich ludów. Tradycya przechowała nam wieszczego Bojana, o którym mówi ‚Słowo o pułku Igora‘...“

Nikogo już nie było na sali, a dr. Radlewicz jeszcze mówił. Wszyscy porozpraszali się w przyległych lokalach, gdzie Emilkowicz jednym się skłaniał, drugich za ręce ściskał, a wszystkich zapewniał, że gdyby mu kiedyś powierzono prezesostwo w towarzystwie, poświęciłby mu się cały.

„Moi panowie! Zmierzam już do końca, by nie nadużyć waszej cierpliwości. Otóż zjednoczenia nam trzeba, jak zjednoczyli się bohaterowie greccy wyprawiając po złote runo, bo i nas czeka złote runo w dźwiękach muzyki; zjednoczyć się nam potrzeba, jak zjednoczyli się królowie Hellady, gdy gotowali wyprawę na Troje, bo i my zdobywać mamy Troję apatyi publicznej, bo i my odzyskać mamy Helenę, a tą Heleną — stłumione dziś uczucia dla piękna, dla...“

Nikt już nie słuchał, nikogo w sali nie było prócz przewodniczącego. Ten pozostał w swoim fotelu, bo... usnął...

Uderzyła godzina 7. Franio wezwał liczne kółko, by się udało do pana rejenta. Kilkanaście osób zebrało się koło niego i wyszli ku Ogrodowej ulicy, inni bądź do kart zasiedli, bądź pospieszyli do „paki“.

* * *

W niewielkiej ale schludnej kamienicy w Ogrodowej ulicy wrzała już od południa wojna domowa. Pan rejent Wilczura był pewien, że goście, co się w pace zapowiedzieli, niezawodnie przybędą, chociaż ich nie zapraszał, ale się też stanowczo od przyjęcia ich nie wymówił. Należało wyjednać u żony sankcyę na tę narzuconą sobie solenizacyę. Zrana, gdy pulchna pani rejentowa z tytułu imienin, podała mężowi kawę z kawałkiem bułki w domu pieczonej, zamiast ze zwykłą centówką, — pan Wilczura tak słodko, a tak pokornie pocałował ją w obie ręce, jak raz przed kilku laty, gdy przepraszał żonę za to, że przyszedł z „paki“ cokolwiek podchmielony. Rozczulona dzisiejszą pokorą pani rejentowa, basowy głos do czułego tonu dostrajała, by złożyć mężowi tem czulsze życzenia.

„Lubuniu moja, wiem, wiem, żeś ty przezacna żona, to też ja ciebie kocham, szanuję.“

„Bo też ja ciebie pilnuję jak oka w głowie. A ktoby ci mój stary tak dogadzał we wszystkiem? Czy to potrzebujesz się o co kłopotać? Hę? A która żona tak pilnuje bielizny mężowi, a dobrego jadła? Hę? No, no, stary, daj ci Boże żyć sto lat. Żebyś wiedział, jak o tobie pamiętam, kupiłam ci na targu prosiaka na imieniny. Wykarmię go sama i sprzedam, a co zarobię, to będzie dla ciebie na nowy paletot. To mi prezent, nie taki, jak inne żony kupują, co to jakieś cacka przepłacają. To się na nic nie zda. Dałam za prosiaka całą piątkę, a za rok wezmę za niego ze trzy dziesiątki. To mi prezent. Zobaczysz prosiaka; Paweł go tu przyniesie we worku po obiedzie.“

„O moja ty lubuniu, jaka ty zawsze mądra!“

Tu pan rejent ponownie okrywał pocałunkami pulchne

ręce swej basem mówiącej lubuni, a przez cały czas do obiadu, wysilał się na wyrazy miłości i uwielbienia tak, że aż magnifika zaczęła go podejrzywać o jakieś zamiary. Raz już tak było, że chcąc zyskać pozwolenie na pójście do cyrku, za którym przepadał, cały dzień schlebiał żonie, by wieczorem dostać guldena na bilet. Wówczas nie obeszło się bez burzy, ale bilet sobie wyprosił. Dziś cyrku nie było, więc zaczęła zachodzić w głowę, o co jej też mąż poprosi po wylewie tych czułości.

Nie okazując podejrzeń, czekała cierpliwie do obiadu. Po obiedzie pan Wilczura był jeszcze słodszym, o mało nie rozpłynął się jak cukier. Obiad był dziś wspaniały. Prócz rosołu i sztuki mięsa, były naleśniki, a na każdym po dwie wiśnie smażone. Nawet „fifka“ wina od Mendla Herza znalazła się na stole.

„No stary, ja dziś wypiję kieliszek za twoje zdrowie.“

„Ach! lubuniu! ja za twoje, abyś mi zawsze była taka piękna, urocza...“

„Ej, stary, pochlebiasz. Czy tam znowu cyrku gdzie nie ma jakiego? Może ci znowu jakie banialuctwo w głowę wlazło?“

„Ale gdzież znowu lubuniu? Jakżebym też myślał wychodzić z domu w tym dniu, który mi tak uprzyjemniłaś? Nie ruszę się z domu krokiem, tylko bo to widzisz nas tak ludzie szanują, że chcieliby jakoś powinszować...“

„No toż ci powinszowali przecie. Dostałeś biletów z dziesięć, i od pana starosty, i od pana komisarza i od panów konsyliarzy i jeszcze inne. Byli też w południe we frakach dependenci i pisarze, byli też... ej, co tam

gadać, powinszował, kto miał powinszować i na tem koniec.“

„Ale widzisz lubuniu, to jeszcze nie koniec.“

„Cooo?“ zerwała się z miejsca pani rejentowa.

„Ale bo też ty się zaraz gniewasz lubuniu.“

„Co się mam gniewać? Nie gniewam się, alem ciekawa, co też ty powiesz. Dalejże stary.“

„Bo to widzisz lubuniu, tacy ludzie jak inżynier powiatowy...“

„Aha! ten fanfaron, co na ulicy ludzi nie poznaje, ukłonić się nie umie po ludzku... no, cóż ten panicz, co? hę?“

„Powiedział, że przyjdzie dzisiaj wieczorem powinszować mi na imieniny.“

„Nic z tego. Niech przyjdzie; powiem mu, że cię nie ma w domu.“

„Ale bo widzisz, bo i pan doktor Radlewicz...“

„Mądral. filozof, a w kieszeni płótno. Każę mu powiedzieć, że cię nie ma w domu.“

„Także pan profesor Franciszek...“

„Dam ja mu. Każę mu powiedzieć, że nikogo nie ma w domu. Drzwi zamknę. Jeszcze czego? Com się go naprosiła, żeby nie dokuczał Michasiowi. Biedne dziecko, wzięliśmy to do siebie na stancyę, żeby nam w domu było weselej, a on mu dał dwójkę, jakby ten chłopiec był na stancyi u jakiego szewca. Co to on nie rozumie tego, że przecie jak ja poproszę i ukłonię się takiemu gołemu profesorowi, co jeno z tej pensyjczyny żyje, to przecie honor dla niego i powinien mój honor szanować i dwójki chłopcu nie dawać.“

„Lubuniu moja! Nabożna z ciebie niewiasta, pamiętaj,

że się modlisz ‚i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy‘...“

„Co mi to za ksiądz z ciebie? Kaznodzieja? hę? Cicho bądź stary. Nic z tego. Hej! Marysiu, jakby tu kto przyszedł, powiedz, że nas nie ma w domu, a ty stary do swego pokoju.“

„Ależ lubuniu, to jeszcze nie teraz, nie zaraz. Oni dopiero wieczorem przyjść mają. Pozwól mi jeszcze być przy tobie, pozwól mi jeszcze ucieszyć się twym widokiem, pozwól mi cudne rączki ucałować. Bo to widzisz lubuniu, tak mnie opadli, że nie było rady. Prosiłem, ze łzami prosiłem, by mnie uwolnili od tego zaszczytu, ale gdzie tam? nic nie pomogło. Oni to przez wielki respekt dla ciebie chcą mi powinszować.“

„Proszę pani, Paweł przyniósł wieprza“, rzekła wchodząc Marysia.

„Weź go pod łóżko do kuchni.“

Ten rozkaz był dowodem wielkiego wzburzenia u pani rejentowej, bo kiedyindziej byłaby wybiegła, obejrzała, do chlewa zamknęła.

Była już godzina szósta. „Lubunia“ do najwyższego stopnia rozgniewana tem, że mąż upierał się, by gości przyjąć, nie dała mu kawy na podwieczorek i sama wypić zapomniała.

„Lubuniu, ja muszę ich przyjąć, boby się stała kompromitacya.“

„Jeszcze czego? Wyrzucać pieniądze na wino dla takich tam chłystków? Kosztowałoby może z piątkę, a mało tu trzeba się naciułać, nim się piątkę zbierze? Hę? A bo ich to potrzebujemy na co, czy co? Co mi tam

tacy? Żeby to pan starosta, albo jaki personat, ale takie tam figury!“

Już i siódma uderzyła i Franio w krótce z całem gronem zjawił się u drzwi państwa rejentów. Gdy rejentowa usłyszała kroki na korytarzu, chciała męża usunąć do jego pokoju i zamknąć, ale pan Wilczura tak się jakoś zakręcił, że się znalazł u drzwi do kuchni wiodących.

„Uciekaj mi zaraz stary, a ty Marysiu nie otwieraj.“

Rejent skoczył do kuchni.

„Dokądże ty stary?“

„Kazałaś mi uciekać“, rzekł płaczliwie.

„Do swego pokoju, a nie do kuchni.“

„Myślałem.“

„Głupiś stary. Właź pod łóżko! no prędzej.“

Pan Wilczura uląkł się wreszcie bardzo zdeterminowanej postawy lubuni i zaczął się czołgać pod łóżko kucharki. Pani rejentowa okryła łóżko prześcieradłem i kazała drzwi otworzyć. Na progu zjawił się Franio.

„Państwa nie...“ zaczęła mówić Marysia, gdy w tem pod łóżkiem ozwał się kwik prosięcia, a pan rejent wyskoczył i stanął oko w oko naprzeciw Frania. Wilczura zapomniał o prosiaku, który zmęczony i znudzony we worku usnął sobie pod łóżkiem, aż teraz przez rejenta przygnieciony, kwiknął, Wilczura zaś ze strachu, nie mogąc się na razie zoryentować, wyskoczył. Tego już było za wiele pani rejentowej, więc wysunęła się prędko z po za szafy, za którą się schowała i... byłaby scena nie dająca się przewidzieć i opisać, ale Franio, poznawszy sytuacyę, od razu uśmierzył wszystko.

„Pani dobrodziejko“ zawołał, „zanim przestąpimy

próg tego z gościnności znanego domu, oświadczyć muszę, że przybywamy imieniem całego miasta panu rejentowi złożyć życzenia w dniu imienin, a do pani dobrodziejki z prośbą, byś raczyła namówić pana rejenta do przyjęcia godności prezesa towarzystwa muzycznego, które zakładamy. Tak zacna, tak godna, tak powszechnie wielbiona dama, jak pani dobrodziejka, raczy być protektorką, opiekunką, prezesową naszego towarzystwa.“

„No, to jakżeż to w sieni o tem mówić, niechże panowie pozwolą do pokoju“, odezwała się pani rejentowa najzupełniej udobruchana, zdumiona ofiarowanym zaszczytem, uszczęśliwiona pokorą profesora, co dał dwójkę Michasiowi. „Nie spodziewaliśmy się takiego honoru Mój stary, dobry gospodarz, zastawiał łapki na myszy pod łóżkiem i tak się powalał. Oczyśćże pana, Marysiu. Proszę panów do salonu. Marysia, a idźże pozdejmować pokrowce z mebli. No, czegóż stoisz? Proszę, bardzo proszę.“

„Pani prezesowa dobrodziejka niech raczy pierwsza.“

„A no to chodźcież panowie. Prośże stary.“

„Splendor, honor“, powtarzał pan rejent, zacierał ręce, to znowu podawał je do uścisku i stojąc już we drzwiach wiodących z kuchni do jadalnego pokoju, kłaniał się i do pokoju zapraszał.

Towarzystwo składało się z kilkunastu osób, przeważnie młodszych, a takich, co nie ubiegali się o żadne w mieście zaszczyty i godności, ale do wszystkiego, co pożyteczne dla miasta i kraju, bez rozgłosu przykładali rękę i umieli bez hałasu wiele robić, nie marnując czasu na długie narady.

Zaledwie pani rejentowa pousadzała gości, a Frania

nawet na kanapie przy sobie, jako „zacnego profesora, a tak miłego gościa“, na męża mrugnęła znacząco, by dobrze bawił gości i wysunęła się z salonu, a wpadła do kuchni.

„Marysiu, goń mi do Mendla po garniec wina, tego co kwarta po sześćdziesiąt nowych. Rozumiesz? On już wie, jakie dla nas, a weź po drodze mięszaniny u Ligięzy za całego papierka. Tylko nie zjedz po drodze. No, ja to zaraz poznam. A nie zatrzymuj się na mieście ze żołnierzami. No, miarkuj sobie. Marysiu! czekajno, a weźno jeszcze sucharków u Drozdowskiego. Wiele ich jest? Nie porachowałaś tych panów.“

„Com ta miała rachować.“

„Głupiaś. Idźże zaświecić lampę w pokoju pana, a po drodze stań trochę we drzwiach i porachuj. Rozumiesz? Ale tak, żeby nie zmiarkowali.“

„Co mają zmiarkować? Albo ja to głupia.“

Marysia wzięła lampę i zapałki i poszła, a pani rejentowa mruczała pod nosem:

„Juścić z ludźmi żyć trzeba, to darmo. Trzeba przyjąć uczciwie. A to się wścieknie inspektorowa ze złości, jak się dowie, żem prezesową została. No, ileż ich? Porachowałaś?“

„Coby nie?“

„Gadajże.“

„A no juści tych co siedli, to ich pono ośmiu, ale jeszcze kupka stoi. Jeden drugiego zasłania, to ich porachować nie można.“

„A toś ty głupia. Skaranie boskie. Kupże już dwadzieścia sucharków. No jeszcześ tu? Czemuż stoisz? Weźże gąsior na wino. A pamiętaj o mięszaninie i sucharkach.“

Wydawszy dyspozycye, wracała pani rejentowa do gości, gdy do drzwi zapukano.

„Kto tam?“

„Dr. Filemon Radlewicz.“

„A to pan, proszę“ rzekła otwierając drzwi. „Proszę, bardzo proszę.“

„Chociaż spóźnionym jestem gościem, bo obowiązki obywatelskie przykuwały mnie do ważnych narad nad kwestyą zjednoczenia filharmonistów, wszelako nie mniej gorąco pragnę złożyć życzenia solenizantowi, a przedewszystkiem ucałować zacne rączki wielce łaskawej pani dobrodziejki.“

„Pięknie, pięknie z pańskiej strony. Idźże pan już do salonu, bo tam są panowie.“

„A! panowie tutaj!“ rzekł dr. Filemon, wchodząc do salonu. „Tutaj? Nie poczekaliście na mnie.“

„Nie chcieliśmy panu mowy przerywać“ rzekł Franio.

„Powinienbym się gniewać, ale w obecności solenizanta, któremu ‚ad multus annos‘ życzenia składam, wybaczam wam, bo jak Cicero powiada: ‚Proprium est stultitiae aliorum vitia cernere, oblivisci suorum‘. Cicero moi panowie, to mąż znamienity, który blaskiem geniuszu przyświeca przez tyle wieków i oświeca horyzont nawet naszego stulecia. Jakżeż to wspaniałe godło zawiesił w tych słowach: ‚Quod munus rei publicae majus meliusve adferre, possumus, quam si‘...“

„Doktorze! profesorze! zabijasz nas łaciną“ przerwał inżynier powiatowy, „wszak nie wszyscy ją rozumiemy.“

„Przepraszam, zbłądziłem, a że Cicero powiada: ‚Cujusvis hominis est errare, nulius nisi insipientis in errore perseverare‘, więc nie przytoczę już żadnego klasyka.“

„Gdzież profesor zatrzymał się tak długo?“

„Jakto? Wszakże miałem skończyć mowę i skończyłem, aż przewodniczący, który jej słuchał z wielkiem przejęciem, pogrążony w zadumie, ocknął się ze zdziwieniem, gdy mówić przestałem i zamknął posiedzenie dla braku kompletu. Ztamtąd wprost tu przybiegam.“

„Swoją łaską, pamięcią, rozczulacie mnie panowie“, rzekł pan rejent. „Przypomina mi to chwilę, w której moi podwładni i koledzy biurowi zaszczycili mnie pierścieniem pamiątkowym z brylantem. Oto ten.“

Chciał go pokazać Wilczura i podniósł palce prawej ręki, a gdy tam nic nie było, popatrzył na lewą rękę, ale i tu nie było brylanta.

„Aha! a to ten u mojej żony na palcu“, rzekł i wskazał na żonę, która tymczasem do lampy zbliżyła rękę i kręcąc nią, pokazywała pierścień pamiątkowy, mężowi ofiarowany.

Rozmowa była dość ożywiona, a ożywiła się w całej pełni, gdy Marysia wróciła. Pani rejentowa sama nakryła do stołu i co miała najwspanialszego w kredensie, wydobyła na dzisiejszą uroczystość. Marysia tymczasem zarzynała kurczęta, a zjawił się i Paweł stróż do pomocy i stróżkę też przywołano. Wszystko szło prędko, gładko, bo pani rejentowa, doświadczona i praktyczna gospodyni, umiała pokierować ludźmi i robotą.

Podano gościom tymczasem przekąski od Ligięzy, ponalewano wina, zaczęły się toasty, mowy, we dwie godziny była już i kolacya złożona z kurcząt i pieczeni z makaronem włoskim, poczem nastąpiła herbata z sucharkami.

Toastowano na cześć nowego prezesa i przysięgano

sobie nie ustąpić od tego postanowienia. Dopiero po północy goście się rozeszli.

„Ty stary zawsze do niczego. Nie mogłeś mi to wcześniej powiedzieć, że tacy zacni goście tu przyjdą; byłabym się przygotowała z kolacyą, o jakiej jeszcze nie słyszeli.“

„Ależ lubuniu, wszakże ci mówiłem...“

„E, coś mówił? Plotłeś ni to, ni owo. Trzeba było przemówić rozumnie, jak pan profesor Franciszek. Ten to umie się znaleźć. No, no idź spać stary, a pocałuj w rękę za to, żem ci tak usłużyła.“

IV.

W kilka dni potem odbyło się ponownie zgromadzenie „filharmonistów“, jak ich dr. Radlewicz nazywał, ale już bez jego udziału, więc mów długich nie było, za to agitacya gorąca, ale chaotyczna, bo brakło w niej wodzów. Główny agitator za dr. Złotowiczem, zasuszony sekretarz, chory był podobno, ale złośliwi opowiadali, iż boi się Marcowicza od chwili, gdy tenże został członkiem dyrekcyi w kasie zaliczkowej, bo sekretarz był tej kasy stałym klientem i pragnął nim zostać na długo. Gruby lekarz opuścił Marcowicza, aby mu w banku pod dyrekcyą Złotowicza nie odmówiono pożyczki. Agitatorowie pozbawieni wodzów, rąbali się na oślep, bez taktyki, bez karności, to też tem pewniejszym był tryumfu Emilkowicz i używał całej zręczności, uprzejmości i wymowy, by sobie zjednać głosy. Mówiono wprawdzie, że liczne, solidarnie związane grono, postanowiło wybrać rejenta, ale

i Emilkowicz i agitatorowie za żart to poczytywali i wcale się z tem nie liczyli.

Chociaż Emilkowicz bardzo się wysilał, po za plecyma ktoś mu darł jak pajęczynę, mozolnie tkaną agitacyę. W ostatnim pokoju zebrało się grono, śród którego taka toczyła się rozmowa:

„Ot, plotki. Słyszałem o tem, ale nie wierzę.“

„Przysięgać na to nie mogę, ale mnie zapewniano, że się na dobre bałamuci, i dlatego kupił kamienicę i majątek.“

„Facecye. Majątek kupił dla tej mody, co ogarnęła naszych adwokatów, a kupić nie trudno. Wszak u nas za dwa tysiące gotówki kupić można na licytacyi wieś wartości sześćdziesiąt tysięcy. Od czegóż hipoteka, banki, konwersye!“

„Mnie mówiono, że kupił kamienicę, bo w niej mieszka doktorowa, a pod tym pozorem, że jako właściciel domu, zaglądać tam musi codziennie i dozierać reperacyi, swobodniej może romansować. A wieś sobie kupił, by udawać że tam wyjeżdża wówczas, gdy spokojnie sam na sam z doktorową przebywa.“

„Dajcież spokój. Kupił majątek, by ułatwić sobie zyskanie dobrej partyi dla córki. Z daleka to ładnie wygląda: jedynaczka, wieś, kamienica.“

„Bądź cobądź“ odezwał się inny „kto ma wieś, kamienicę, kancelaryę adwokacką, jest do tego radnym, ten już tyle ma obowiązków i zajęć, że niepodobna się spodziewać, aby mógł zajmować się jeszcze muzyką.“

„To uwaga słuszna“, rzekł ktoś z grona.

„Niezawodnie“, powtórzyło kilka głosów.

„Tak, tak, o tem nie ma nawet mowy.“

„Proszę panów do głosowania“, zawołał inżynier powiatowy, wpadając pomiędzy mówiących.

W sali ugrupowali się Złotowiczanie obok siebie, zwolennicy Marcowicza uczynili toż samo. Inżynier zbliżył się nieznacznie do Złotowiczan i rzekł po cichu:

„Wiecie panowie, że najchętniej głosowałbym z wami, ale wobec liczby tamtej partyi, nie wypada nam narażać Złotowicza na kompromitacyę. Możemy mieć za nim najwięcej głosów 15. Moja rada rozbić głosy. Głosujmy na rejenta ot tak, dla żartu, a Marcowicz niech się kompromituje kilkunastu głosami.“

„Doskonale, wyborna myśl“, odezwało się kilku Złotowiczan „i zaczęli zaraz o tem rozprawiać między sobą z wielką ostrożnością, żeby ich Marcowiczanie nie słyszeli. Inżynier tymczasem zawinął się prędko koło Marcowiczan i toż samo im powiedział. Komornik zaraz plan zaakceptował licząc, że głosy się rozbiją, zebranie rozejdzie, a do następnego lepiej się stronnictwo przygotuje.

O wybór sekretarza nie było sporu i tak Złotowiczanie, jak i Marcowiczanie godzili się na Frania, bo wiedzieli że był neutralny, we wielką politykę się nie wdawał, a na muzyce znał się doskonale. Tylko Emilkowicz ani słyszeć nie chciał o tej kandydaturze.

Głosowano kartkami. Skrutynium okazało taki wynik, że na 86 głosujących, rejent otrzymał głosów 85, Emilkowicz 1 głos, który sam sobie dał, jak mówili złośliwi. Franio również 85 głosami wybrany, został sekretarzem.

Zdziwienie ogarnęło wszystkich — inżynier uśmiechał się nieznacznie, a Emilkowicz z największem rozdrażnieniem opuścił salę.

„Zadrwili z nas“, szeptali sobie Złotowiczanie.

„Ależ panie, to krętacz ten inżynier“, mówił komornik do Marcowicza.

„Na rok wybory! pocieszali się wszyscy.“

* * *

„Niezmiernie byłem ciekaw, dlaczego taką facecyę urządził sobie Franio, bo jużciż zrozumiałem, że to jego robota, zaczęta już w „pace“ w przeddzień imienin pana Wilczury, to też gdyśmy się spotkali, bez ogródek zapytałem go o to.“

„Jurysto, sędzio, nie rozumiesz polityki.“

„Cóż za polityka stawiać na czele instytucyi takie zero?“

„Bo tylko w takim razie instytucya będzie miała powodzenie.“

„O, co tego, to już nie rozumiem.“

„Rzecz jasna. Jeżeliby partya Złotowicza stanęła na czele, do towarzystwa niezapisywaliby się Marcowiczanie i agitowaliby przeciw niemu, albo osobne założyli i oba by z braku funduszów i poparcia upadły, boby się wzajem zagryzały. Toż samo działoby się, gdyby Marcowiczanie stanęli na czele. Gdybyśmy mieli w mieście swego organistę, o którym ci mówiłem, on by zjednoczył wszystkich, bo górował nad wszystkimi i wszyscy go szanowali. Miał powagę talentu i charakteru, i siłę finansową, którą mógł pomagać temu, co dobre, a paraliżować szwindle. Gdzie nie ma takiego człowieka — tam musi na czele stanąć neutralne zero, nikomu nie groźne, wszystkim obojętne. Złotowiczanie pogodzą się z losem i będą kontenci, że Marcowicz ich nie pokonał, Marcowiczanie doznają ‚Schadenfreude‘, że Złotowicz upadł.“

A że i jedni i drudzy, będą chcieli ‚sich wichtig machen‘ w towarzystwie, więc będą czynni, ruchliwi, pożyteczni. U nas to przecież w całym kraju taka metoda. By nie obrażać tego, lub owego, wybiera się na burmistrza, marszałka i t. d. zero do rejenta podobne. Dlaczego używamy miejsc tak zwanych neutralnych, jeżeli nie chcemy z kimś się widzieć w jego domu, a nie możemy w swoim?

„Jakżeż taki rejent będzie mógł kierować towarzystwem?“

„Ależ mój drogi. W każdem stowarzyszeniu prezes jest firmą, sekretarz prezesem. Że całą duszą oddam się towarzystwu muzycznemu, tego bądź pewien, a że rejenta żona nauczyła posłuszeństwa, nie obawiam się, aby i mnie słuchać nie chciał.“

„Można było wybrać raczej Emilkowicza.“

„Najgorzej. Kumulacya urzędów, godności, zajęć sprawia, że niejedno u nas chroma. Emilkowicz jest adwokatem, radnym miasta, członkiem wydziału powiatowego, jednym z członków rady nadzorczej kasy oszczędności, więc kiedyż, choćby chciał nawet, może znaleść czas na dokładne spełnianie tylu obowiązków? Ambicya nie pozwoliłaby mu całkowicie zdać wszystkiego na sekretarza, a sam nie mając czasu, niby nie robił i towarzystwo muzyczne, jak wiele innych w kraju, odbywałoby co roku walne zebranie, wybierało dygnitarzy i na papierze istniało, zapisane w statystyce miasta. Tak, tak mój drogi, u nas albo Batory albo Wiśniowiecki; albo taki, którego się wszyscy boją, albo taki, którego za nic nie mają. Zresztą przekonasz się — a tymczasem do

widzenia, bo spieszę organizować pierwszy wieczorek muzykalny. Liczymy już przeszło stu członków."

* * *

Nastały feralne dni dla Emilkowicza. Namozolił się, wydał dość pieniędzy za zieleniaka i upadł przy wyborach, upadł strasznie, jak może nie upadł dotąd żaden kandydat przy żadnych wyborach.

Na domiar złego, w kilka dni potem, znalazł w pokoiku córki list miłośny na różowym papierze. Wprawdzie styl wskazywał dokładnie, że to jakiś student był autorem listu, ale biedny Władek tem się prawdziwie zmartwił, że panienka list ów nosiła za gorsetem. Po tem odkryciu przez trzy dni nie wychodził z domu, nie zajrzał do kamienicy, na wieś nie wyjeżdżał. Nie było powodu do rozpaczy nad tą studencko-pensyonarską głupotą, ale Władek, dla którego córka tworzyła jedyne szczęście, który na nią przelał całą miłość ojcowską, nie mając innych dzieci, uczuł to głębiej, niżby uczuli inni. Jeżeli się o czemś myśli uporczywie, temat tych myśli rośnie, wyobraźnia go podnosi do coraz większej potęgi i często z rzeczy drobnej, powstawać zwykły wielkie rewolucye duchowe...

Władek ani myślał, ani pragnął zwodzić, a bodaj bałamucić żony grubego doktora. Uprzedził się do własnej żony, bo nie umiała go zająć. Była to kobieta wykształcona, zacna, rozumna, miary nie zwykłej, ale nie licowała z temperamentem Władka. Należał do rzędu tych ludzi, u których miłość zastyga, jeżeli jej kobieta nie podnieca kokieteryą. Pani Władysławowa i nie chciała i nie umiała kokietować, choćby najuczciwiej, własnego męża.

Była za poważną na to; żyła sercem i rozumem, nie nerwami, a prawość charakteru męska nie pozwalała jej udawać, układać się, chociaż rozum nie raz jej tego doradzał. Brak kokieteryi, bez której kobieta najuczciwsza, jest wyjątkiem, był jedynym grzechem pani Władysławowej, ale też zarazem źródłem kwaśnego pożycia z mężem.

Władek zaczął się nudzić w domu, ona nie umiała i nie chciała zabawiać go jak odaliska. Zaczął szukać przyjemności za domem coraz więcej, coraz częściej, a ona znosiła to z godnością i powagą. Cierpiała bardzo, to też coraz mniej zajmowała się sobą, popadła nawet w pewne zaniedbanie zewnętrzne, zobojętniała na wszystko, a szukała pociechy i roztargnienia w książce i muzyce. Gdy córka podrastała, Władek wstydził się córki i wysłał ją na edukacyę do klasztoru; pani Władysławowa, choć jej serce pękało za jedynem dzieckiem, rada była temu, bo czuła, że dziewczątko i gorszyćby się musiało w domu i więdnąć w tej kwaśnej, dusznej atmosferze.

Władkowi sprzykrzyły się ulotne rozrywki; przepadający za kobietami „z temperamentem“ jak je nazywał, zajął się doktorową. Kobieta ukształcona, uczciwa, ale z natury i z usposobienia kokietka „na zimno“, oczarowała go, szukał jej towarzystwa, był w niem szczęśliwy, ale ani sam się nie ośmielił, ani go ona nie ośmieliła do przekroczenia granic, w obrębie których on był przyzwoitym adoratorem, a ona kokietką na zimno. Doktorowa była cokolwiek zepsutą jedynaczką. Od lat dziecięcych unosiła się matka nad jej pięknością, ojciec nie przeczył, że cudowna, ciocia i babcia uwielbiały, więc gdy wyszła za mąż, zdawało się jej, że i mąż powinien tylko podziwać i uwielbiać bez końca. Doktor wcale

prozaiczny, zajęty praktyką, nie miał na to ani czasu, ani zdolności. Poczciwy, ale rubaszny, kochał żonę bez sentymentalności, a w noc księżycową wolał piwo w pace, niż wzdychania romansowe. Bezdzietna, a znudzona doktorowa, bawiła się adoracyą Emilkowicza, uważając to za dalszy ciąg tych uwielbień, jakich doznawała u rodziców, a jakie według jej mniemania, należały się słusznie i od męża i od całego świata.

Gdy Emilkowicz odkrył miłośny list studenta, noszony za gorsetem córki, zatapiając się niemal w rozpaczy, zaczął oburzać się na donżuanów, złorzeczyć im i... sam się uznał winnym. Uczucie ojcowskie, wyleczyło go ze słabostek mężczyzny.

Postanowił pilnować rodziny; — doktorowa wydała mu się owocem tak zakazanym dla niego, jak jego córka dla owego studenta.

Już tydzień minął, a Władek przesiadywał w domu. Odkrycie listu, zniewoliło go pomówić o tem z żoną, by użyła wpływu matki na córkę, jako najskuteczniejszego. Spędził z żoną w ten sposób jednego dnia godzinę na rozmowie, drugiego dwie godziny, a po tygodniu cały czas od zajęć biurowych wolny, spędzał z żoną i córką i zaczął uczuwać w tem wielkie zadowolenie.

Ale jak się raz zacznie nieszczęście, to już ściga do upadłego.

Coraz głośniej szerzyły się wieści o stosunku Emilkowicza z żoną grubego lekarza a zwłaszcza od owych wyborów. Wreszcie dotarły do uszu męża. Gruby doktor raz i drugi ofuknął się na to, ale gdy pogłoski nie ustawały i jeden z przyjaciół dość jaskrawo ostrzegał go o

niebezpieczeństwie, wpadł w największem uniesieniu do domu.

„Moja pani!“ zawołał stłumionym głosem.

„Cóż takiego?“ spokojnie z odcieniem ironii zapytała doktorowa, nie odwracając nawet oczu od poezyi Konopnickiej, które właśnie czytała.

„Panie tego!“ zawołał doktor i nie wiedział co dalej mówić.

„Słucham cię mój drogi.“

„Panie tego, moja pani...“ mówił już spokojnie i znowu nie wiedział, co dalej począć.

„Jeżeli nic więcej nie chcesz mi powiedzieć, to lepiej pozwól mi spokojnie czytać.“

„Hm! czytać. Tobie panie tego czytać przyjemnie, ale mnie słuchać nie miło.“

„Wszakże czytam po cichu.“

„Ale panie tego, ludzie głośno gadają o umizgach Emilkowicza.“

„Do kogóż się umizga?“ zapytała najspokojniej.

„Ona się pyta? Panie tego, moja pani — do ciebie się umizga.“

„Nie byłeś nigdy zbyt grzecznym, ale dziś jesteś prostakiem mój konsyliarzu...“

To rzekłszy, podniosła się majestatycznie z fotelu, nosek pod cwikierem przybrał barwę różową, oczy zionęły płomieniem, pierś drgała pospiesznie, a usta lekko się rozwarły. Przeszła do salonu i siadła do fortepianu. Zrazu bezmyślnie puściła palce po klawiszach, zwolna z improwizowanych arkordów wyrastały jakieś urywki, wreszcie zabrzmiała część rapsodyi Liszta, po której nastąpiła sonata Beethowena. Mało było w grze cieniowania,

mało precyzyi, ale siła ogromna. Jakby zmęczona, zamknęła głośno fortepian i... spojrzała w źwierciadło. Poprawiała włosy tak powabnie, oczy wzniosła tak uroczo, że doktor zapomniał się gniewać i przystąpiwszy do niej, pocałował ją w rękę, co ona najobojętniej, jak należną sobie daninę przyjęła.

„Moja droga, panie tego“, rzekł pieszczotliwie „powiedz mi bez gniewu, co te plotki znaczą?“

„Ponieważ plotkami nie zwykłam się zajmować, więc też i tłómaczyć ich nie umiem.“

„Zkądże biorą się owe pogłoski o umizgach Emilkowicza?“

„Sądzę, iż nie przypuszczasz, by ktokolwiek mógł umizgać się u nas, chyba do naszej pokojówki. Czy ci się zdaje, że byłam subretką, abym znała się na umizgach?‘

„Ale Emilkowicz tu bywa w czasie mej nieobecności?“

„Jest właścicielem domu, wstępuje tu i bawi mnie, gdy się nudzę. Powinien byś mu być wdzięcznym, że mnie rozwesela, gdy ty rozweselasz się przy piwie.“

„Wyzwę go na pojedynek“, zawołał znowu groźnie.

„Skompromitujesz mnie i siebie niepotrzebnie.“

Spokój żony rozdrażniał doktora — a budził w nim poczucie własnej winy, to też ułagodzony na chwilę widokiem jej pięknej postaci, w tem większe popadał teraz uniesienie, ale instynkt mu szeptał, iż ośmieszy się gwałtownymi wybuchami w oczach żony, więc je stłumił i bez słowa pożegnania wyszedł.

Rozbierał w myśli swoję sytuacyę. Był pewien, że doktorowa niewinna, ale należało albo zatamować pogłoski, a to nie w jego było mocy, albo zachować się obojętnie

i narazić na uwłaczające podejrzenie, albo wyzwać Emilkowicza. Ważył, rozbierał i wybrał ostatnie.

Nie odkładając sprawy, udał się do komornika i wezwał na sekundanta.

Skruszony Władek już ósmy dzień dosiadywał w domu i coraz więcej nim się rozkoszował, gdy komornik się zjawił i wyzwanie przedłożył.

Pisałem właśnie list do Sewerci, gdy wszedł do mnie Władek bardzo przygnębiony.

„Tosiu! Byłeś oficerem, znasz się dobrze z bronią i rozumiesz sprawy honorowe. Jako do przyjaciela i kolegi przychodzę z prośbą, byś mi był sekundantem w pojedynku z doktorem.“

Wytrzeszczyłem oczy na Władka, a on nie czekając odpowiedzi, mówił dalej:

„Mam żonę zacną, niewysłowionej dobroci, prawdziwy skarb. Kocham ją całem sercem. Czem dla mnie córka, wiesz dobrze. Jużciż nie zbyt to miło w takich warunkach stawać do pojedynku, ale muszę, muszę — boć niepodobna się kompromitować. Nie odmawiaj mi proszę cię.“

„Władku, czego ty żądasz odemnie? A § 164 ustawy karnej? Wszakże mam być stróżem prawa.“

„Tak, ale jest § 2, lit. g.“

„Ten może od biedy obronić każdego, ale nie sędziego.“

Władek milczał, a ja rozpędziłem się na pokój i chodziłem myśląc nad tem, jakby tu pojedynkowi kark skręcić. Może się przecie pogodzą, pomyślałem, i przyjąłem wreszcie obowiązki sekundanta.

Franio dowiedziawszy się o pojedynku, bo doktor

głośno o tem po mieście rozprawiał, wpadł do mnie z impetem.

„Musimy temu przeszkodzić“ zawołał, „bo do pojedynku nie ma najmniejszego powodu. Gryzłem się, trułem, dochodziłem wszystkiego, wreszcie przekonałem się, że Emilkowicz nie zły chłopak, że się bałamucił, ot tak sobie, ale nawrócony już, skruszony i żona jego szczęśliwa. Doktor nie ma też powodu do pojedynku, bo honorowi jego nie stała się żadna krzywda. Niech siebie samego obije tego za to, że po za domem się włóczy.“

Ucieszyłem się niezmiernie, znalazłszy pomoc w takim sprzymierzeńcu. Franek mi wciąż powtarzał:

„Nie dopuszczę, nie dopuszczę, by nie narażać na nieszczęście tej biednej.“

Myślał oczywiście o żonie Emilkowicza.

V.

Mimo wszystkich wysileń, perswazyi, zabiegów, doktor od pojedynku odstąpić nie chciał, a Władek o przeprosinach nawet mówić sobie nie dał.

Wyjechaliśmy do Zalasowy, o milę od miasta, i tam mieli się strzelać do mety na trzydzieści kroków. Na komendę raz, dwa, trzy, padły oba strzały prawie równocześnie i obaj napastnicy... stali nieporuszeni na swych stanowiskach. Nic im się stać nie mogło, bośmy z komornikiem się umówili pod największym sekretem, że nabijemy pistolety na ślepo. Wymówiono tylko jeden strzał, to też i zakończył się pojedynek, a przeciwnicy pod wpływem wzruszenia nie czuli nawet, że strzelali ślepymi nabojami.

Dochowaliśmy sekretu do tej chwili. Ale pojedynek nie wystarczał na uspokojenie pogłosek, plotek, więc Franio namówił panią rejentową, by dla okazania, jak poważne dziś rejent zajmuje stanowisko w mieście, jako prezes towarzystwa muzycznego, urządziła bal w karnawale, jak to czynić zwykli starosta, prezydent sądu, burmistrz, to jest osoby będące na czele miasta.

Rejentowa pragnęła dokuczyć inspektorowej i pokazać, jak ją całe miasto respektuje i na co ją stać, to też z radością przyjęła propozycyę Frania.

Przez tydzień rejentowie chodzili zapraszać osobiście, a do kawalerów posyłali bilety. I Emilkowiczowie i doktorowie zostali także zaproszeni. Całe miasto było ciekawe, jaki to będzie bal u „pani prezesowej“, więc nikt nie odmówił, a byli tacy, co się i sami zaprosili, dowiedziawszy się, że będzie i ksiądz biskup i pan starosta, i pan prezydent sądu, i hrabia marszałek, jak powszechnie mówiono.

Całe pierwsze piątro w kamienicy rejenta było bez lokatorów, więc też miejsca było podostatkiem. Rejentowa tak się zawinęła, że nawet z pewnym smakiem wszystko urządziła. Ale pastwą balu padł wieprzak, na imieniny rejentowi kupiony.

„Lubuniu, to prezent dla mnie, to pamiątka od ciebie, miałaś go trzymać przez rok cały“.

„Cicho stary, kupię ci innego. Niech znają, co to bal u prezesowej. Tak się postawię, żeby popękały ze złości inspektorowa z naczelnikową.“

Zdumienie brało wszystkich, gdy na balu Emilkowiczowa z doktorową wciąż ze sobą rozmawiały, nie odstępując się ani na chwilę. W kadrylu stały naprzeciw

siebie, uśmiechały się przyjaźnie i w najlepszym były humorze.

Emilkowicz z doktorem trącali się kieliszkiem, siedli przy jednym stole do preferansa.

„Jakieżto niegodziwe były plotki o romansie adwokata z doktorową!“ szeptano po sali, a po balu głośno powtarzano to po mieście.

Ci, co najwięcej pogłoski szerzyli, teraz najgłośniej narzekali na nieuczciwość ludzką, która dopuszcza się najniegodziwszych potwarzy względem porządnych ludzi. Przesadzano się odtąd w grzeczności dla Emilkowicza i doktorowej, skoro na balu u rejenta hrabia-marszałek ściskał się z adwokatem, a pani starościna po pod rękę przechadzała się po sali z doktorową.

Franio tańczył do upadłego z panną Kaźmirą, młodszą siostrą Emilkowiczowej, która po kilku latach spędzonych we Lwowie u ciotki przyjechała teraz do siostry.

„Jak na starego kawalera, tańczysz za wiele mój Franiu“, rzekłem do niego.

„A któż ci powiedział, że chcę zostać starym kawalerem?“

„Wszakże sam mówiłeś.“

„Gdy Kazi nie było.“

„Ej? a owa pamięć pierwszej miłości...“

„Zawsze droga sercu, dopokąd się drugi raz nie zakochamy. Spróbuj, a przekonasz się.“

„Nie chcę, nie chcę. Za dwa tygodnie moje wesele ze Sewercią; już pierwsza zapowiedź wyszła.“

„Musisz być starostą na mojem...“

* * *

Młynarkiewicz sprowadzał mniej piwa. Doktor pilnował żony i pacyentów; zarzucał swoje „panie tego“ i zamienił się w bardzo dobrze wychowanego człowieka. Doktorowa przestała się nudzić i domagać się uwielbień dla siebie, bo gdy się jej córka urodziła, wpatrywała się w nią po całych dniach i wszystkim „cudowne“ dziecko podziwiać kazała.

Emilkowicze tak się kochają, że jedno bez drugiego na mieście się nie pokaże, Córka ich przy rodzicach, zajmuje się gospodarstwem i śmieje się z różowego listu.

Pan Wilczura miewa zawsze takie rękawiczki, że palców u nich kręcić nie może, a pani rejentowa na koncertach Towarzystwa muzycznego siada zawsze w środku pierwszego rzędu krzeseł, tuż obok księdza biskupa, wykręca na palcu brylantowy pierścień, mężowi przez podwładnych kupiony.

W pace jeszcze komornik z zasuszonym sekretarzem i dr. Radlewiczem popijają piwo, a może z tego nowa wyrośnie komedya.

Po dziesięciu latach.

Pogadanka przyjacielska.

„Drugie dzwonienie, proszę wsiadać“ zawołał konduktor drzwi wagonu uchylając i pobiegł z tem wołaniem.

Zajrzałem do wnętrza. Wybornie; tylko jeden pasażer rodzaju męzkiego; przeczytam gazetę, wyśpię się doskonale i jeżeli mi czasu zostanie, będę myślał o mojej Zosi.

Wchodzę, uchylam zlekka kapelusz przed nieznanym pasażerem, zawiniątko w siatkę, pled na kanapę, już siedzę i żeby uniknąć rozmowy, binokle zasadziłem czemprędzej i dalejże odczytywać telegramy: Petersburg, Londyn i artykuły na temat Stanleya.

Trzecie dzwonienie. Trąbka. „Gotów“ konduktora, szum pary, świstawka i... „do widzenia Krakowie.“

Chciałem czytać, potem spać, a wreszcie myśleć o Zosi. Przeczytałem dwa telegramy, zacząłem korespondencyę londyńską, ruch pociągu przypominał mi, że jadę, a jadę do Zosi, po Zosię i Zosia też, co miała być ostatnią w programie, została pierwszą.

„Czy też zdrowa? Ostatni list pisała przed czterema dniami, przez cztery dni mogło się stać co złego.“ Przerwałem korespondencyę londyńską.

„A może Jancio zachorował? Mógł się zaziąbić, dzieci tak łatwo się zaziąbiają?“ Gazetę spuściłem na kolana.

Ach! jak to będzie dobrze, gdy już Zosia wróci. Już mi się sprzykrzyły restauracye i to wiecznie jedno towarzystwo przy obiedzie. Poczciwy ten mecenas krząkający, szturkający się po okularach, z zadartą czupryną. Przyjemny człowiek, dowcipny, przystojny. Szkoda go, nie chce się żenić. Dziwak. Chciałby się ożenić, ale z taką, któraby mu się sama oświadczyła. Żartowniś. Muszę go Zosi przedstawić. Możeby go z Józią wyswatać? Chciałbym, żeby został naszym kuzynem. A cóż? Józia ładna, dobrze wychowana, posażna. Powiem Zosi, kobiety znają się na tem najlepiej. Ten drugi także przyjemny człowiek, nie czuć w nim wcale doktora filozofii i ciężkiej erudycyi historyka, grzebiącego w archiwach. Możeby i jego wyswatać? Ba! już nie mam kuzynki na wydaniu. Szkoda. Może Zosia znajdzie jaką. A toby się wybornie udało, gdybym tak wyswatał towarzyszy obiadowych z czasów słomianego wdowieństwa i złamał ich „panieńskie śluby“ zostania kawalerami.

Gazetę odłożyłem.

„Podgórze, jedna minuta.“

Trzeba zapalić papierosa. Gdzież podziałem zapałki? nie ma w żadnej kieszeni, może w paletocie? nie ma. A! to nieznośny ten Michał, wyprawił mnie bez zapałek. Muszę przeprosić pasażera. Spojrzałem na niego po raz pierwszy. Coś zawzięcie notuje, wyraźnie czyni jakieś

obliczenia. Jakże mu tu przerywać? Ej, co tam, może się nie pogniewa; a zresztą niech się gniewa na mego Michała, czemu mi nie dał na drogę zapałek.

„Przepraszam pana, czy wolno prosić... ej! Kajcio!“

„Leoś!“

„Poznałeś mnie?“

„Po głosie. Przypatrywałem ci się jakeś wchodził, ale w ciemnej hali dworca nie dowidziałem, bo i w jasności nie bardzo widzę, a potem zająłem się rachunkami i zapomniałem nawet, żeś siedział w drugim kącie.“

„Poczciwy mój Michał, że mi nie dał zapałek na drogę. Gdybym był miał zapałki, możebyśmy się byli nie poznali. Byłbym wypalił papierosa, zaczytał się, zamyślił o żonie i dzieciach i zapomniał, że mam towarzysza podróży.“

„Ożeniłeś się? dawno?“

„Ba! stare małżeństwo, już mam syna sześcioletniego i trzechletnią córkę.

„A ja pięcioletnią córkę.“

„Dobra para, może się pobiorą kiedyś.“

„Ale żeś ty się ożenił, mój Leosiu! Ty bałamut nad bałamuty. Myślałem, że przepadniesz w kawalerstwie, jak wszyscy bałamuci.“

„Ej Kajciuniu; łatwiej to sobie wybałamucić żonę, niż takiemu sensatowi zebrać się na pomyślenie o niej. Ileż to lat, jak my się nie widzieli?“

„Blizko dziesięć. Cóż za szczęście prawdziwe, że się tak spotykamy.“

„Dajże ognia. Palisz? Służę ci. Mówiono mi, że gospodarujesz gdzieś na Rusi.“

„Dopiero od lat czterech.“

„Cóż tu robisz, dokąd jedziesz?“

„Wracam od żony; śpieszę do domu, do żniwa, do gospodarstwa.“

„A gdzież twoja pani?“

„W Cieplicach z wujem i dzieckiem. Kłopot prawdziwy. Oj te żony, te żony dzisiejsze! Nasze prababki do Cieplic nie jeździły, a były zdrowe. Dziś, co druga żona, musi jeździć co roku do Krynicy, do Szczawnicy, do Truskawca, do Iwonicza, do Cieplic, Gasteinu i jak się tam do reszty nazywają, te na utrapienie nasze wymyślone wodziska. Co to za ambaras w domu! a nudno, nieznośnie, pustki niedające się niczem zapełnić. No, ale Leośku kochany, cóż się z tobą dzieje? Dziesięć lat minęło, a tożby było dość do mówienia. Co robisz, gdzie mieszkasz, dokąd podróżujesz?“

„Do Krynicy po żonę i po dzieci. Mógłbym więcej od ciebie narzekać na kuracye zdrojowe. Na wsi nie przestajesz mieć domu gdy żona wyjedzie; w mieście po wyjeździe żony rozbija się dom. Jada się w restauracyi, nie przyjmuje się nikogo, żyje się po kawalersku, wydaje się trzy razy więcej pieniędzy. Ej, nawet nie chcę regestrować wszystkiego...“

„Z nudów liczyłem wydatki. Te Cieplice już mnie dotąd 800 złr. kosztują. Rachunek krawiecki na tualetę kąpielową, sezonową 283 złr. 17 ct., rachunek modniarki kąpielowy, sezonowy 36 złr. 23 ct., rachunek...“

„A nie wymawiajże tak żonie nudziarzu, liczykrupo, skąpcze!“

„Ba! nie wymawiaj. Pszenica po 6 złr. i nawet nikt nie chce kupić, robotnik coraz droższy, podatki cisną,

gorzelni niewarto pędzić, a tu mieszkanie w Cieplicach 200 złr., o patrz — dotąd przeszło 800 złr.“

„Wy wszyscy hreczkosieje na jedną miarę. Ot, dajże mi pokój ze swemi guldenami i pszenicą, a lepiej powiedz mi coś też robił przez dziesięć lat.“

„Bierzanów, jedna minuta.“

* * *

Kajcio pochował notatki, rachunki, wyciągnął się na sofie i zabrał głos:

„Gdyśmy się rozstali po bankieciku doktorackim, tyś został we Lwowie, a ja wyjechałem zaraz na wieś Ochotę miałem wielką do gospodarstwa, ale ojciec pragnął, bym koniecznie wstąpił do urzędu. Ci Potoccy, Gołuchowscy, Tarnowscy i t. d. narobili kłopotu takim jak ja, co to do roli ciągną, a szpargalstwa kancelaryjnego nie lubią. Zabieraj się tu do zagona, a ojciec do argumentu: patrz, tacy służą, co miliony mają, to trzeba tobie tem więcej brać się do urzędu. A no, zostałem urzędnikiem i przeznaczył mnie namiestnik do starostwa w miasteczku, co miało pretensyę do miasta, do dobrego tonu, do dobrego towarzystwa, a wszystko w niem było w tym smaku, co świecidła ze złota Talmi. Ni to wieś, ni miasto. Na złość sąsiedztwa ani wyszukać żadnego, bo w całym powiecie 47 majątków tabularnych, z czego 30 żydowskich, dziesięć przeróżnych banków niemieckich, a reszta najrozmaitszych posłów, dyrektorów, ‚verwaltungsratów‘, mieszkających we Lwowie lub w Wiedniu. Ach! co za nudy!

Inteligencya miejscowa, a to: urzędnicy, koledzy biurowi, znajdowali przyjemność w kasynie, w taroku, beziku,

wiście i tym podobnych egzercycyach, które mnie tylko nudzić mogły. Raz mnie sforsowano do preferansa, w pół godziny usnąłem. Jedna tam była instytucya, która coś robiła na seryo. W miasteczku jest gimnazyum, więc też inteligencya profesorska, a dzięki jej było też towarzystwo pedagogiczne. Chociaż nie pedagog, zostałem członkiem tego towarzystwa, zrazu z nudów, potem z prawdziwego zainteresowania się temi sprawami.

Zapowiedziany był lipcowy zjazd w jednem z miasteczek pokuckich; postanowiłem pojechać tam, by się pedagogom przypatrzyć. W pierwszy dzień zjazdu nie mogłem wyjechać, bo licho nadało jakąś nagłą komisyę. Jadę w drugi dzień; oczywiście nie zastaję już na dworcu żadnego członka komitetu. Była godzina 10. wieczorem. Biorę fiakra i każę się wieźć do pierwszego lepszego hotelu. Objechałem wszystkie i nigdzie za najdroższe pieniądze nie można było znaleźć miejsca. Już dochodzi 11. — co tu robić?

„Jedź do ratusza“ wołam na fiakra. Jestem u celu, wysiadam, szukam policyanta, znajduję i każę się wieźć do koszar policyjnych. Był tam jakiś sierżant, jemu oddaję kuferek i zapowiadam, że przyjdę na noc do kancelaryi policyjnej, jeżeli noclegu nie znajdę, bo jużcić pod gołem niebem nie zostanę.“

„A może pan komisarz znajdzie komitet w ogrodzie, bo tam dziś ‚festyn‘.

„Daleko do ogrodu?“

„Ogród za szpitalem.“

„A szpital?“

„To już fiaker zawiezie.“

„Jedź, a prędko.“

Niecierpliwy, głodny, bez kawy, bez kolacyi, bez herbaty, o lichym obiedzie, w lichszej jeszcze Dolinie zjedzonym, staję wreszcie w owym ogrodzie. Mimo festynu ciemno, prawie pusto, tylko z jakiegoś ni to pawilonu, ni to szopy, padają promienie światła i dochodzą głosy:

„Panowie! dziś uroczysty dzień; co mówię, dziś wielki dzień! Uczcić musimy ten wielki dzień! Panowie... panowie...“

„Zdrowie komitetu, niech żyje... Wiwat!“

„Wybaczcie panowie, że wam przerywam“ rzekłem, wpadając do owej niby szopy. „Może to być wielki dzień, ale dla mnie jest wielka noc. Godzina jedenasta, objechałem całe miasto, nigdzie w żadnym hotelu nie ma kąta, restauracye tu także nie istnieją, nie mam się gdzie podziać. Byłem na liście uczestników, więc prawdopodobnie znajdzie się może dla mnie kwatera. Oto mój bilet.“

„Litera K. Kto z panów ma literę K.?“

„Jestem, jestem“ odzywa się jakiś pan z kokardą komitetową, zapocony, zmęczony „proszę o bilet. A, to pan komisarz, a, cieszymy się, a, jest kwatera, jest, może najlepsza, nawet ztąd niedaleko, a... doskonale się udało.“

„Bardzo dziękuję za kwaterę, lecz czy wolno spytać, komu będę zawdzięczał gościnność?“

„A... to panie komisarzu u pani Heleńskiej.“

„Heleńskiej? Któż to jest?“

„Młoda wdowa, ma tu własny dworek, bardzo ładny, ale ma i dwie wsie za Kołomyją, a... to najlepsza kwatera w całem mieście. Elegancki pokój, a... lokaj do usługi, a...“

„Dlaczegóż mnie ten zaszczyt spotkał, że mi pano-

wie dajecie najlepszą kwaterę? Należało ją było przeznaczyć dla ‚sztabu‘ pedagogicznego.“

„A... pani Heleńska sama sobie życzyła mieć pana u siebie. Kazała sobie przedłożyć spis uczestników i pańskie nazwisko podkreśliła.“

„Teraz już zapewne zapóźno udać się na kwaterę.“

„A... wcale nie, pani Heleńska dopiero o dziesiątej pije herbatę, a przed dwunastą nigdy się nie kładzie. Nawet powiedziała, że do 12-stej może pana przyjąć.“

Możesz sobie wyobrazić, mój kochany Leosiu, jak mnie to zaintrygowało. Młoda wdowa sama mnie sobie wybiera, nie znam jej wcale, co to znaczy? Wierz, że pomyślałem wtenczas o tobie. Ach! Leosia tu potrzeba, byłby romans gotowy.

Z pewną nieśmiałością, raczej dla próby, niż na nocleg udałem się z moim poczciwym komitetowcem, co wciąż literę *a* miał na języku.

Przybywamy pod dworek; oświetlony. Komitetowiec dzwoni do furty, otwierają. Dowiaduję się, że pani przy herbacie, więc daję bilet. Za moment zjawia się służący ze światłem i wprowadza mnie do pokoju jadalnego.

Z drogi, nieprzebrany, zakopcony, zapylony wchodzę, skoro pani Heleńska kazała mnie tu prosić. Zastaję trzy kobiety. Na pierwszy rzut oka spostrzegłem, że jedna z nich uderzająco piękna, druga ni młoda ni stara, a wcale przyjemna, zaś trzecia... a już nie wiem, jaka była trzecia, bo zamiast na nią, wolałem drugi raz spojrzeć na pierwszą.

„Jestem posłuszny rozkazowi i przedstawiam się paniom, ale sam sobie wymawiam to posłuszeństwo.“

„Jakżeż można wymawiać sobie to, co czynimy do-

brego?“ odpowiedziała pierwsza, głosem dźwięcznym, metalicznym, srebrnym.

„Pani bardzo łaskawa, że z taką pobłażliwością pozwala mi korzystać z gościnności, mimo że tak bardzo się spóźniłem.“

Wskazała mi miejsce. Siadam i mam pyszne vis-à-vis w gospodyni. Oko pełne, niebieskie, włosy, no, nie widziałem wówczas, bo przy lampie trudno było dobrze ocenić. Znać było, że bujne, a jasne, coś niby popielate. Podano mi herbatę. Piję, ale... ale, cóż u licha, nigdym się jeszcze na żadną kobietę tak nie patrzył. Ciekaw byłem dowiedzieć się, dlaczego ona mnie wybrała. A jakże się tu spytać?

„Tego rodzaju zjazdy są niezawodnie dokuczliwe dla mieszkańców. Komitety bywają zwykle natrętne, a mieszkańcy gościnni, więc nie odmawiają przyjęcia.“

„Przecież to najmilszy obowiązek.“

„Nie przeczę, że miło być gościnnym dla znajomych, ale nieznajomi nastręczyć mogą pewne obawy, a przynajmniej wątpliwości.“

„Nie zawiązywałyby się znajomości, gdybyśmy się z nieznajomymi nie stykali.“

„Zapewne, jednak do nieznajomych zbliżamy się zwykle przez pośrednictwo tych, którzy i nas i ich znają. Ja w tej chwili niesłychanie żałuję, że nie mogłem mieć takiego pośrednictwa. Przybywam na kwaterę zjazdową, a znajduję przyjęcie.“

„Masz pan do niego zupełne prawo.“

„Pozwoli pani, że dopiero będę się starał je uzyskać.“

„Zbyteczna dobijać się tego, co nam się należy.“

Co ona mówi? pomyślałem sobie. Dlaczegóż mnie tak wyjątkowo traktuje? Głodny byłem przerażająco; do herbaty dano tylko ciasta, a jednak i ciast niewiele kosztowałem, bo mnie i niebieskie oczy i ta zagadkowość zupełnie syciły. Cóż u licha? tyle razy widziałem piękności, owiane urokami dobrego tonu, elegancyi, wdzięku, a jednak nigdy jeszcze żadna tak mi się piękną nie wydała. Przypomniałem sobie, że mój kufer został w koszarach policyi. Opowiedziałem moje przygody; pani Heleńska kazała natychmiast sprowadzić moje rzeczy...

„Podłęże, dwie minuty."

„A to ciekawa historya, mój Kajciuniu. Co to za szkoda, że mnie tam nie było. Lubię takie sceny."

„Ba! to moje szczęście, że ciebie nie było, bo byłbyś mi zabrał żonę. Taki, jak ty bałamut niebezpieczny."

„Więc to z panią Heleńską się ożeniłeś?"

„No, przecież nie zaraz owego wieczoru. O czemże to mówiłem? Aha! Wdówka coraz piękniejsza w moich oczach i sam na siebie się gniewam, że jak student ulegam doraźnie wrażeniom."

„Panie spodziewały się mieć u siebie jakiegoś pedagoga. Są to ludzie wielkiej pracy i wielkich zasług dla kraju — więc te prawa do wyjątkowego przyjęcia padagogowi panie przyznają, a ja nie jestem nauczycielem i tylko jako wolontaryusz lub jako amator należę do towarzystwa pedagogów."

„Wiem dobrze, że pan zajęty w starostwie."

„Zatem ktoś był łaskaw przedstawić mnie pani, zanim przyjechałem?"

„Przecież pana przedstawiać nie było potrzeba."

„Czy z tego tytułu, że jestem urzędnikiem starostwa“, dodałem z uśmiechem.

„Jutro pan wuja odwiedzi, to on panu wytłumaczy...“

„Wuja? czyjego, pani?“

„Mojego“ odpowiedziała, śmiejąc się.

„Bardzo mi będzie przyjemnie, jeżeli wuj pani raczy przyjąć moje uszanowanie.“

„Sądzę, że się panowie serdecznie uściskacie.“

„A, pani, jeżeli wujowi to sprawi przyjemość, to będę bardzo szczęśliwy.“

„Czyż pan możesz wątpić o tem?“

„W każdym razie taka łaskawość wuja pani byłaby niezwykłą.“

„Cóż w tem nadzwyczajnego?“

Pojmiesz mój Leosiu, że tu już nie wiedziałem, co o tem myśleć.

„Wuj pani mieszka w tem mieście?“

„Oto jego mieszkanie“ i wskazała na drzwi boczne. „Ale pan zmęczony podróżą, nie możemy panu zabierać potrzebnego spoczynku.“

„Pani pozwoli się zapytać o nazwisko wuja. Proszę wybaczyć natręctwu, ale skoro już pozwoliły mi panie być jakimś wyjątkiem, niechże to wyjątkowe natręctwo zostanie wybaczone.“

„Jakto? pan nie zna wuja Karola?“

„Wuj Karol? Wszakże pan Karol jest ciotecznym bratem mego ojca i mieszka nad Dniestrem, a jest moim wujem.“

„Nie, panie, pan Karol jest moim wujem i mieszka tu, nad Prutem, bo majątek wypuścił w dzierżawę, by mną się zająć.“

„W takim razie mamy wspólnego wuja, a ja kuzynki nie znałem.“

„Otóż to, panie Leonie, kuzynku szanowny, trzeba więcej i lepiej pamiętać o krewnych. Za karę wuj pana niezawodnie nie puści tak prędko.“

„Ależ, kuzynko, będę grzeszył jeszcze więcej, by na takie kary zasługiwać.“

„Jeszcze pan wuja nie widziałeś i nie wiesz kuzynku, czy panu tu będzie przyjemnie.“

„O, wobec kuzynki wolno mi być szczerym, więc wybacz pani otwartości, gdy powiem, że godzina spędzona w towarzystwie pani zachęci mnie bardzo do grzechu, by na taką zasługiwać pokutę.“

„Dobranoc, kuzynku.“

„Kłaj, jedna minuta.“

* * *

Kajcio był ożywiony, jakim go nawet przed dziesięciu laty nie pamiętałem. Samo opowiadanie szczęścia wówczas doznanego opromieniało go, unosiło. W tej chwili byłby pewnie nie obliczał wydatków na Cieplice. Wyjął świeży papieros, zadymił, zasunął firankę, bo nam słońce dokuczało, i opowiadał tak, że można to było, spisawszy, wprost przenieść do powieści albo na scenę. Poznanie pięknej kobiety wśród tak niezwykłych okoliczności; stosunek kuzynowski, który niczego nie utrudnia, a wiele ułatwia; wrażenia silne, jakich się doznaje we właściwem sobie towarzystwie, gdy się go długo było pozbawionym, wszystko to mogło było zawrócić głowę Kajciowi. To też zawrócił ją sobie doskonale.

„Wiem już, żeś się zakochał, żeś nie spał, żeś wy-

czekiwał niecierpliwie, by jak najprędzej „dzień dobry“ powiedzieć kuzynce, że ta ni młoda, ni stara, to kuzynka kuzynki, zajmująca się domem, że ta numer trzeci, to dawna kuzynki guwernantka, ale cóż dalej, dalej?“

„A, prawda, trzeba zamierzać do końca. Wuj Karol nietylko blizkim jest mego ojca kuzynem, ale najlepszym przyjacielem. Stracił dwoje własnych dzieci, więc przyjął za córkę siostrzenicę swej żony, która została sierotą. Wychował ją, majątek, jaki miała po rodzicach, podwoił i wydał zamąż. Heleński po dwóch latach pożycia z żoną umarł bezdzietnie, umarła też wujenka Karolowa.

Wuj, doznawszy tyle ciosów na wsi, przeniósł się do miasta, a że niepodobna było Heleńskiej zajmować się zarządem pięciu folwarków, a co więcej, że nie wypadało opuścić wuja i opiekuna, więc z nim w mieście zamieszkała.

Wybrałem się na zjazd na dwa dni, a zabawiłem ośm, wuj mnie nie puszczał, z czego byłem najszczęśliwszy, a gdy odjechałem, zdawało mi się, że w oczach kuzynki czytam: do prędkiego widzenia.

Na Boże Narodzenie odwiedziłem kuzynów, a w pół roku potem kuzynka była już moją żoną. Jestem najszczęśliwszy, do czego i to się przyczynia, że porzuciłem akta, starostwo, miasteczko, a gospodaruję w ziemi, jak Bóg przykazał. Żebyś ty ją znał! jaka to zacna, a śliczna, urocza kobieta!“

„A wymawiasz jej ośmset guldenów na Cieplice wydanych.“

„Hm! widzisz, pszenica po niczemu, robotnik drogi i....“

„Bochnia, pięć minut.“

II.

„Żeby tylko kto nie wsiadł do nas. Tak nam tu dobrze samym po dziesięciu latach. Zeszliśmy się przypadkowo, za chwilę się rozejdziemy i znowu może upłyną lata, nim się zobaczymy.“

„O, co to, to nie, mój Kajtusiu. Po pierwsze: wiemy już o sobie, więc możemy korespondować, po drugie: przecież żonę musisz przez Kraków odwozić z Cieplic, a my mieszkamy w Krakowie; po trzecie: oświadczam ci uroczyście, że żjadę do ciebie z rewizytą od dziś za rok. Pomogę ci pracować na wsi,“

„A już, co w tem, to niewiele byłoby z ciebie pociechy. Ty zawsze wolałeś książkę, koncert, pióro, teatr, miasto, niż strzelbę, konia, gospodarstwo.“

„Prawda, że niewiele miałem skłonności do gospodarstwa na waszą modę, bo ruchliwego temperamentu, lubiłem zawsze być zajętym, zawsze coś robić pożytecznego.“

„A czyż my nie pracujemy?“

„Proszę cię, wymień mi nazwę, rodzaj tej waszej pracy.“

„Toż od świtu do nocy gospodarz nie ma spokoju.“

„To nie jest praca, to jest antyteza pracy. Gdzie rolnik pracuje, tam spokój zyskuje. Wstajesz zwykle w złym humorze, złajesz służącego, odprawisz konferencyę z rządcą, przejedziesz się na ten lub ów folwark, zajrzysz do stajni, czasem i do stodoły, wracasz do domu, ubierasz się, mówisz żonie „dzień dobry“, zjadasz z nią śniadanie, przeglądasz gazety, czasem jakie dzieło nowe i już po wszystkiem, a jeszcze tyle czasu zostaje! Więc zapeł-

niasz go rozmyślaniem o taniości pszenicy, narzekaniem na złe czasy. Niekiedy wyrwie cię z tej kwękaniny zjazd obywatelski, posiedzenie jakieś, jakieś zgromadzenie wyborcze, proszony obiad, imieniny, ale to mija prędko i wracasz do . . . gderania, narzekania. Sam sobie mówisz codziennie o złych czasach i tak się do tego przyzwyczaiłeś, że każdego tem samem zabawiasz i już o niczem innem mówić nie umiesz. Znam pewnego szlachcica, którego niemal co miesiąc widuję już od lat czterech. Nigdy nic innego nie mówi, tylko: „Co to będzie dalej? Ten rok zniszczy nas do szczętu, upadamy w przepaść.“ Otóż to wasze zajęcie, wasza praca. Wiele gadać, projektować, jeszcze więcej narzekać, zrzędzić, nudzić, a najwięcej z założonemi rękami czekać i patrzeć jak pszenica rośnie, by ją kiedyś zebrawszy, sprzedawać po cenie produkcyi. W takiej to pracy gospodarskiej będę ci pomagał, będę ci zrzędził, narzekał, ile zechcesz.“

„Ho! ho! uczyniłeś nam rolnikom ciężkie zarzuty, hola, pozwól, bym bronił swego cechu.“

„Kajciu, Kajciuniu! daj spokój, nie obronisz, bo to fakt historyczny w historyi hreczkosiejstwa naszego. Mógłbyś tylko żądać odemnie, abym ci wskazał, co macie robić i jak pracować. Chętnie uczynię to, ale dopiero, gdy do ciebie przyjadę, a tymczasem . . .“

„Słotwina, dwie minuty.“

„A niechże to licho bierze. Jak to prędko jedziemy. Czemu się ten pociąg tak śpieszy. To już niedaleko Tarnów.“

„Zamiast kazania hreczkosiejom, wolałbyś opowiedzieć mi o sobie. Zostawiłem cię we Lwowie po doktoracie, miałeś ubiegać się o katedrę.“

„Pragnąłem szczerze, ale chłop strzela, Pan Bóg kule nosi, a śmierć i żona od Boga przeznaczona. Rok posiedziałem we Lwowie, pracując nad rozprawą habilitacyjną, która mnie miała wprowadzić na katedrę. Byłbym wówczas przysięgał, że świat nasz uczony znajdzie we mnie pierwszorzędnego ekonomistę, tak mnie ekonomja zachwycała dotąd, dopóki Zosia nie zachwyciła więcej, niż wszystkie systemy ekonomiczne razem wzięte.

Przypominasz sobie Tadzia? Poczciwy to był chłopiec z tęgą głową a dzielną wymową. Był jakimś hetmanem młodzieży na uniwersytecie. On to wpada raz do mnie; jak zwykle mocno ożywiony i zaprasza mnie do udziału w teatrze amatorskim.“

„Zlituj się, Tadziu, pracuję nad rozprawą; mnie katedra w głowie nie teatr amatorski.“

„Nie może być, musisz wziąć udział, jesteś jedyny do ról amantów, a to przecież na dochód stowarzyszenia patryotycznego. Nie wymawiaj się, daj dobry przykład, uczyń jakąś ofiarę z siebie dla dobra ubogich. Myśmy powinni życie nasze uczynić ofiarą dla sprawy publicznej“ i tam dalej i tam dalej, gadał, deklamował, aż mi w głowie trzeszczało. Lubiłem Tadzia i ceniłem w nim to, że istotnie ten człowiek nie troszczył się o siebie, a zawsze o drugich; był nietylko przyjacielem, ale niemal sługą drugich, a nigdy sobie usłużyć nie umiał. Trudno się było oprzeć, kapitulowałem.

„Ale mi chociaż powiedz, jakie towarzystwo będzie. Nie chciałbym znaleźć się wśród osób, któreby we mnie widziały nieswojski dla siebie żywioł, a wśród których mnieby też było nieswojsko.“

„Zawsze ten sam, zawsze wybredny. Bądź spokojny,

całe towarzystwo używa rękawiczek. No, słowo, grasz? Jutro pierwsza próba, musisz przyjść, oto rola.“

Wpadł jak wicher, wypadł jak uragan.

Zostałem z rolą. Patrzę, a to tego kilka arkuszy. Miałem grać bohatera, coś niby Hamleta, w „Anieli“ Korzeniowskiego. Rozpacz mnie ogarniała. Tu rozprawa na ukończeniu, tu uśmiecha mi się toga profesorska, należało przecież zawczasu dostrajać się do powagi stanowiska, a tu mam się zabawiać w aktora. Złorzeczyłem Tadziowi, teatrom amatorskim, Korzeniowskiemu, całemu światu.

„Punktualność jest grzecznością królów“ — jako monarchista z przekonania, z zasady, z monarchiczną punktualnością stanąłem na próbie. Zwolna zgromadzało się towarzystwo, dla mnie zupełnie obce, z wyjątkiem Stasia Łopatnickiego i Tadzia. Zaraz przy prezentacyi doznałem miłego wrażenia, bo znać było, że to świat równie europejski jak ten, który dotąd znałem.

Czekaliśmy jeszcze na bohaterkę.

Wyobrażałem sobie, że panna, która przyjęła tak trudną rolę, jest albo jakąś ex-aktorką, albo jedną z tych istot, o których zwykliśmy się wyrażać, że dobre o sobie mniemanie jest połową szczęścia. W oczach stawał mi obraz jakiejś mięszaniny sawantki z trywialną elegancyą garderoby.

Nareszcie wchodzi jakaś dama, pełna dystynkcyi, powagi, a takiej prostoty i uprzejmej słodyczy, że zdało mi się, jakbym zobaczył osobę mi blizką, pokrewną, zaprzyjaźnioną. Obok niej była smukła, wiotka, niemal eteryczna blondynka. Poruszała się tak lekko, tak powiewnie, z takim naturalnym wdziękiem, że była dla mnie

zjawiskiem kobiety, jakiego dotąd nie widziałem nigdy. Uderzony tą niezwykłą postacią, zapomniałem się ukłonić, gdy mnie prezentowano. Połapałem się jednak i jakoś pokryłem tę niezgrabność. I pociąg jakiś ku tej amatorce i to, że mieliśmy oboje role bohaterów sztuki, dostarczały mi dość wątku do rozmowy. Po raz pierwszy w życiu byłem wobec kobiety poważny.

Jak wiesz, przepadałem zawsze za towarzystwem kobiet, kochałem się dziwiętnaście razy, ale ot tak po studencku, co to miłość się rodzi w bujnej fantazyi i co tydzień się zmienia. Lubiono mnie w towarzystwie kobiecem, bo zawsze wesół, umiałem je bawić. Spoufalony też byłem jak pieszczoch i wiele mi uchodziło, chociaż często niebardzo się trzymałem na wodzy. Na owej próbie po raz pierwszy wydała mi się kobieta czemś więcej, niż przyjemnością, niż rozrywką.

Gdy mi się udało dopaść Stasia Łopatnickiego bez zwrócenia uwagi, wziąłem go na śledztwo.

„Powiedz mi, kto są właściwie te panie?“

„A już ci pewnie Zosia Bolecka wpadła w oko.“

„Ot, pytam przez ciekawość, by wiedzieć przecież, do czego mnie ta znajomość obowiązuje.“

„Nie obowiązuje cię do niczego więcej, chyba do ukłonu na ulicy i to, jeżeli jesteś bez towarzystwa.“

„Dlaczego?“

„Biedna, bez pozycyi, nie należy do towarzystwa.“

„Czy może opinią swoją?...“

„Opinia nie zajmuje się biednemi i ich córkami. Gdyby to hrabina X., księżna Y....“

„Ach, mój Stasiu, zawsze jesteś złośliwy i dziwne masz do mnie uprzedzenie.“

„A, broń Boże, jesteś paniczem, mój Leosiu, a z paniczami mówi się tylko o towarzystwie.“

„Nie dręcz-że mnie i powiedz, kto jest pani Bolecka?“

„A nie będziesz bałamucił Zosi?“

„Cóż się tak poufale wyrażasz?“

„Boć to moja siostra cioteczna. Otóż pani Bolecka, z domu Łopatnicka, jest wdową po majorze, ma wdowią pensyę, dochód z kaucyi oficerskiej i córkę jedynaczkę. Zosia posagu nie ma żadnego, bo kaucyę złożył brat nieboszczyka Boleckiego i po śmierci mej ciotki kaucyę jemu zwrócą. Panna bez posagu nie ma wartości na giełdzie kawalerskiej, nie podają kursu jej waloru. Zosia umie szyć, gotować, zająć się gospodarstwem, mówi po niemiecku, po francuzku, po angielsku, śpiewa, rysuje, tylko papierosów nie pali, na koniu nie jeździ, a to do szyku należy.“

„Panie czekają, a panowie zapominacie o próbie“ — przerwał Stasiowi nasz reżyser.

„Przepraszam bardzo i służę.“

„Pan ma scenę z panną Zofią.“

Mimo, że musiałem czytać rolę, przecież dość miałem czasu przypatrywać się Zosi. Jak się jej oko ożywiło w deklamacyi, a jaka to była deklamacya! Ile w tem dziewczęciu było artystycznej intuicyi, trudno mi było pojąć. Znać było, że tam jest dusza pełna i serce serafimembers jakieś. Czy uczyniłeś kiedy to spostrzeżenie, że w dźwięku głosu można poznać dźwięk duszy? Głos panny Boleckiej czynił na mnie wrażenie, jakby mi święta Cecylia na harfie grała.

Skończyła się próba; pokierowałem się tak, że bez natręctwa niegrzecznego mogłem odprowadzić panie.

Gdyśmy się znaleźli na placu Halickim, spytałem, gdzie mieszkają. Wyobraź sobie moje zdziwienie, gdym się dowiedział, że w tym samym domu, w którym ja od roku mieszkałem. One nie zajmowały się sąsiadami i nie wiedziały nic o mnie, ja zaś, rozprawą zajęty, nie troszczyłem się wcale o sąsiadów. Jest to zresztą kamienica ogromna, o dwóch bramach, mająca dwadzieścia okien frontowych i wielkie oficyny, to też nawet we Lwowie można się było w niej zgubić.

Nazajutrz i jako sąsiad i jako współgrający złożyłem pani Boleckiej wizytę; trzeciego dnia pod pozorem wspólnej pracy nad rolą i tak dalej i tak dalej, bywałem zrazu często, potem częściej, wreszcie codziennie aż do ślubu.

A jak mi tam czas spływał! Śpiewaliśmy duety, czytywali i rozprawiali o literaturze. Zosia bardzo wiele czytywała pod kierunkiem matki i miała ogromne poczucie piękna, a zmysł krytyczny, udoskonalony ukształceniem.“

„Bogumiłowce, jedna minuta.“

„A gdzież Biadoliny się podziały?“

„Tak gorąco opowiadałeś o Zosi, żeś nie uważał nawet Biadolin.“

„Jest bo o czem gorąco rozprawiać. Zosia nie mogła mieć posagu, ja miałem fundusz bardzo szczupły, nie wystarczający dla dwojga, więc porzuciłem i rozprawę i gonienie za katedrą, bo na nią trzeba na docenturze czekać lat kilka, a zostałem urzędnikiem. Pierwsze lata naszego pożycia upłynęły wśród trudnych warunków, aleśmy tego

nie czuli. Mnie starczyły za majątek cudne oczy mej Zosi, jej charakter, inteligencya, poczciwość, ona nigdy niczego nie pragnęła, prócz tego, by widzieć zadowolenie na mej twarzy. Ta kobieta jeszcze nigdy nie skrzywiła się, nie zgniewała, nie zachmurzyła. Zawsze pobłażająca dla drugich, surowa dla siebie, pogodna, uśmiechnięta, nawet w cierpieniu.

Dobijałem się awansu; od dwóch lat jestem w ósmej klasie dyet. Rozumiesz ty tę nomenklaturę? Ósma klasa dyet, to major, sędzia powiatowy, sekretarz sądu krajowego i tp. Mam dochód z urzędu, z własnego funduszu procencik mały, a przed dwoma laty stryj Bolecki zapisał Zosi tę samą kamienicę we Lwowie, gdzieśmy się poznali."

„Tarnów, dziesięć minut. Do Sącza, Orłowa, Krynicy, Szczawnicy, wysiadać proszę."

„Bądź-że zdrów, Kajciu, a pamiętaj, że będziemy państwa oczekiwali w Krakowie. Wracając z Cieplic, musicie się u nas zatrzymać."

„A przyjedziecie do nas w przyszłym roku?"

„Jeżeli pszenica będzie droższa, bobyś mnie narzekaniem zanudził."

„Nie będę cię nudził, jeżeli spełnisz przyrzeczenie i wyszukasz kwadraturę koła, to jest receptę, według której my rolnicy mamy na wsi pracować, by dobrze nam się działo."

„Chętnie to uczynię per longum et latum, a tymczasem tyle powiem: nie bądźcie panami na gospodarstwie, tylko przedsiębiorcami."

„Nie rozumiem.“

„Do widzenia, drogi Kajciu, a donieś mi koniecznie, kiedy będziecie w Krakowie.“

* * *

Dzwonek dał hasło, trąbka odzew, dzwonki elektryczne monotonnym pomrukiem żegnały pociąg, świst lokomotywy dzwonkom się przedrzeźnił, a szum pary i turkot kół zagrały na pożegnanie. Kajcio odjechał.

„Żeby to już czemprędzej wsiadać! Jeszcze tyle godzin czekać na uścisk Zosi! Zosiu moja droga, jedyna, najlepszy, najwierniejszy towarzyszu, przyjacielu. Jakżeż to życie bez ciebie, niepełne było, blade. Tyś mnie nauczyła czuć jego wartość, uczynić je tem, czem być powinno: spełnieniem obowiązku względem Boga, społeczeństwa i rodziny.“

„Do Sącza, Orłowa, Krynicy proszę wsiadać.“

„Chwała Bogu . . . już coraz bliżej do Zosi.“

JAKOŚ TO BĘDZIE.

Kartka z pamiętnika.

Znaliśmy się z Kaziem od lat dziecięcych, bo razem znaleźliśmy się umieszczeni u poczciwego profesora Hansburga, do tej samej uczęszczaliśmy klasy, a do figlów jedna w nas była ochota.

Poczciwy Hansburg był to jeden z tych niemców, co powołani do uszczęśliwiania nas cywilizacyą germańską, byli ludźmi przedewszystkiem i profesorami. Biło w nich serce zacne, naukę kochali, szanowali swój zawód nauczycielski, do młodzieży zbliżali się z uczuciem ojcowskiem, a wstrętne im były wszelkie uboczne misye, nie będące w bezpośrednim związku z zadaniem szkoły.

Lat kilkanaście przebywał u nas na posadzie, więc poduczył się po polsku, a dzieci jego to już ani słyszeć nie chciały o tem, że kiedykolwiek były lub będą niemcami.

„Rudolf, was treibst den du?“ krzyczy nasz Hanzik na syna, bo Rudolf razem z innymi tłukł szyby jednemu

z profesorów, który nam w klasie powiedział: Polnische Schweine, slavisches Gesindel.“

Rudolf na to ani słowa.

„Hast nicht gehört, was ich dir sage?“ pytał ojciec jeszcze bardziej rozgniewany.

Rudolf nic nie odpowiada.

„Zum Teufel, wirst antworten oder nicht?“

Rudolf zbliża się do ojca, chwyta go za rękę, całuje, pieści i ze łzami mówi po polsku:

„Ja nie rozumiem po niemiecku.“

Trzeba było widzieć twarz Hanzika. Zrazu oburzenie, potem żal jakiś, w oczach łzy mu się pojawiły, w reszcie pokiwał głową:

„Ja, ja; er versteht nicht deutsch! A cóż ty jesteś?“ dodał po polsku.

„A no jużcić polak“ odpowiedział Rudolf z najgłębszem przekonaniem.

Hanzik kiwnął ręką, odwrócił się, a reprymendę odroczył.

W takich czasach i stosunkach byliśmy z Kaziem w 6. klasie gimnazyalnej, a liczyliśmy po lat piętnaście wieku.

W sąsiedztwie mieszkała pani Pelagia, wdowa po jednej z ofiar rzezi 1846-go r., a miała dwie córki, śliczną Brońcię i cudną Kamilcię.

Po za domami sąsiadów ciągnęły ogrody przedzielone murem.

Mnie się spodobała Brońcia, Kaziowi Kamilcia. Ja napisałem odę do mojej, Kazio do swojej elegię, a kochany Rudolfek podjął się wręczenia tych poematow.

Udało mu się to szczęśliwie.

Altana w ogrodzie pani Pelagii przypierała do muru i godzinami całemi wysiadywaliśmy pod nim, by się pieścić słowiczym głosem Broni, kanarczym Kamilci. Siadywały często w altanie z robótką lub z książeczką, ale z matką, lub ze starą panną kuzynką.

Raż pani Pelagia wyjechała do swego majątku, stara panna dostała migreny, Bronia i Kamilcia były same w altanie. Nieocieniony Rudolf uczynił to ważne odkrycie i sprowadził nas pod mur.

Uszczęśliwieni do najwyższego stopnia, wiedzeni jedną myślą, biegniemy do pokoju, ubieramy się elegancko, czeszemy, myjemy, Rudolf rabuje najpiękniejsze kwiaty z klombów i zwija dwa bukiety. W kwadrans byliśmy znowu pod murem; raz, dwa, trzy: na murze; hop! i już w ogrodzie pani Pelagii.

Stajemy z bukietami, wręczamy, chcemy coś mówić, jakoś nie szło.

„Pani racz przyjąć...“ i urwało mi się.

„Pani! ten bukiet...“ i urwało się Kaziowi.

Bronia popatrzyła na mnie, ach! jak ona spoglądała. Postawa Junony, a spojrzenie, e—któż to opisać zdoła. Zrobiło mi się gorąco od jej wzroku, czułem, że to miłość Broni z serca przez oczy na mnie spływa kipiącą lawą.

Ona po tem spojrzeniu ognistem uśmiechnęła się i rzekła:

„Umie pan gramatykę na jutro?...“

Kamilcia śmiała się od początku, a potem w ślad za Brońcią odezwała się do Kazia;

„Pan Hansburg każe klęczeć za karę, jak będzie ‚szuba‘ z łaciny.“

A potem śmiały się obie, myśmy stali nie wiedząc co począć, gdy nagle śmiech rozległ się na murze, śmiech straszny naszych kolegów. Podpatrzyli nas i wdrapali się na mur, by się przypatrywać naszym oświadczynom.

Zlitowała się nad nami Bronia i zawołała służącego:

„Macieju, paniczom tu wpadła piłka do ogrodu, przeszli przez mur żeby jej szukać. Już ją znaleźli i chcą odejść, więc pokażcie paniczom drogę przez furtkę, żeby się już po murach nie spinali. Niechże panowie idą za Maciejem.“

Od tego czasu zawiązała się między mną i Kaziem przyjaźń najserdeczniejsza, bo nic tak nie brata ludzi, jak wspólnie doznana niedola. Podarłem odę, Kazio spalił elegię i przez tydzień nie wychodziliśmy krokiem do ogrodu.

Za dwa tygodnie odbyło się wesele Brońci z panem Zygmuntem Zarańskim, bogatym szlachcicem, aż gdzieś ze Stryjskiego.

A ja nic nie wiedziałem, że ona była narzeczoną! O! ten Zarański! Chciałem go wyzwać na pojedynek, ale mi Rudolf odradził.

Gdy Bronia z mężem na wieś wyjechała, płakałem gorzko, dostałem dwie „szuby“ z matematyki, a za to z deklamacyi polskiej od poczciwego profesora Markowicza, „wielką eminencyę.“

Przezacny to był człowiek, jedyny polak śród niemieckich profesorów. Kochaliśmy go i zwali między sobą „kochanym Michasiem.“ Pod wpływem zranionego serca deklamowałem z ogromnym zapałem; po lekcyi zatrzymał mnie „kochany Michaś“ i rzekł do ucha:

„Fantazya u ciebie zajęta; no nie szkodzi, mój

Zdzisiu, byleby nie zapominać o książce. Jak ci znowu jaka Broncia zawróci głowę, to sobie przeczytaj... no wiesz już ten ustęp, jak to z Gustawa przeradza się Konrad. Serce nie plewa, ale skarb."

Na ten temat mówił dość długo. Żem go posłuchał, przekonał się o tem dziś już ś. p. „kochany Michaś", gdym przyszedł do niego z pożegnaniem i po błogosławieństwo na drogę do... Miechowa.

Wróciliśmy z Kaziem szczęśliwie i osiedli na roli ojcowskiej. On w jasielskiem, ja aż pod opiewanym przez Pola Chwaniowem, w Sanockiej ziemi.

Mijały lata, doszliśmy trzydziestki; trzydziestka minęła, na czwarty krzyżyk zbierało się prędko. Kazio zmiarkował jakoś, że to już czas o żonie pomyśleć i upolował sobie w Szczawnicy śliczniutką Ewunię z Płockiego. Służyłem mu za drużbę. Zabawiliśmy się w Warszawie doskonale, alem za to sto korcy żyta musiał sprzedać Janklowi, nie czekając wymłotu.

Państwo Kazimierzowie osiedli w Kaziowym majątku i oczywiście w miodowych miesiącach nie myśleli o drużbie, a ja znowu pilnowałem gospodarstwa, by odtęsknić Warszawę.

Coś w rok po ożenieniu spotykam Kazia w Rzeszowie na końskim jarmarku. Szczęśliwy, wesół, rozmarzony swoją Ewunią, jak mi zaczął malować słodycze małżeńskiego życia, a do ożenienia namawiać, tak mu powiedziałem:

„Skoro mnie już tak koniecznie chcesz ożenić, to mnie wyswataj."

„A może to i zrobię. Wiesz co? Przyjedź do nas; mamy w sąsiedztwie o dwie mile wdówkę, ale młodą

wdówkę. Ładna kobieta. Gdybym tak Ewuni był nie poznał, kto wie, czybym się o nią nie starał. Pięć folwarków, bezdzietna, lat dopiero 23 jak mówiła, a 28 jak powiada stary proboszcz, co ją chrzcił jeszcze. Brunetka, oko strzeliste, żywa, dziarska, ej, dzielna kobiecina.

„Skoro tak zachwalasz, to chyba i pojadę.“

Jakoż we dwa tygodnie już byłem u Kaziów, a oni tak urządzili, żeśmy się we troje znaleźli na herbacie u pani Stefanii. Spodobała mi się kobiecina, a jak mi Kazio powiedział, i ja wdówce do gustu przypadłem.

W kilka dni Kaziowie urządzili u siebie herbatę „in gratiam“ pana Józefa, wujaszka kaziowego, który wrócił z zagranicy i u Kaziów zamieszkał. Pani Stefania zajechała eleganckim faetonem, zaprzężonym w czwórkę, a powoziła sama tak doskonale, że mi aż serce rosło.

Po tej herbacie byłem raz z Kaziem, a raz sam u pani Stefanii, pozór się zawsze znalazł, aż i czas było wracać pod Chwaniów. Powiem szczerze, że nie wiedziałem sam, czy się kocham we wdówce, czy mi się tylko zdaje.

Podobała mi się bardzo, lecz ile razy sobie wspomniałem, że mam zostać jej mężem, czegoś mi się tęskno robiło w duszy.

Niedorzeczne kunktatorstwo! pomyślałem i w kilka miesięcy puściłem się w Jasielskie.

Wystąpiłem już jako konkurent, ale ze stanowczem oświadczeniem wstrzymałem się jeszcze, chcąc zaraz po niem odbyć zaręczyny, a w ślad za tem i wesele. Wróciłem do domu, odświeżyłem dwór, ogród, budynki; urządziłem wszystko tak, aby mojej Stefanii wygodnie tu było, a nietęskno za Jasielskiem.

Nareszcie postanowiłem oświadczyć się i zaręczyć i ożenić przed żniwami.

Z początkiem czerwca wyjechałem tedy koleją do Tarnowa, gdzieśmy się z Kaziem zjechać mieli, bo miał tam różne interesa.

Zastałem Kazia w Tarnowie z wujem Józefem, ale bardzo skwaszonych, bo dnia poprzedniego pogoda była prześliczna, aż w nocy deszcz lunął gwałtowny, a po nim od rana siekło gęstym kapuśniakiem.

Mieliśmy do Kazia cztery mile ze stacyi, wprawdzie dobrym gościńcem, ale z góry na górę, a w nizinach potoki powzbierały, pola pozalewane.

„Jak myślisz, Jacenty?“ zapytał Kazio starego stangreta „może się przecież wyjaśni?“

„A no, proszę wielmożnego pana, kto tam wie; niby to na trzydniówkę wygląda, ale też chmury się przecierają, to może koło południa ustanie.“

„Mnie się widzi, proszę wielmożnego pana“ odezwał się drugi służący „że ono tam od południa nic lepszego nie będzie, a jacy wody przybędzie w potokach. Jużby to może lepiej było zaraz jechać, póki dzień.“

„E, co tam będziemy długo radzili“ odezwał się wuj Józef „Jacenty sobie, Kuba sobie, a my chodźmy ot na butelkę wina, niech pan Zdzisław odpocznie z drogi. Jak wyjedziemy po obiedzie, to i tak nam będzie na czas. Nie bójcie się, zajedziemy, jakoś to będzie.“

Kazio się nie sprzeciwiał, bo miał nadzieję, że się wyjaśni i za pogody wyjedziemy, oszczędzając koni i uprzęży.

Wypiliśmy nie jedną buteleczkę, ale podobno trzy, a potem i obiad jeszcze zjedli, a kapuśniak nie ustawał.

Markotno było Jacentemu, bo Kuba z niego przedrwiwał; irytował się Kazio, bo mu żal było ludzi, koni i uprzęży; ja też nie bardzo rad byłem tej słocie, bo nudna to rzecz jechać cztery mile pod takiem kropidłem.

Wuj Józef, jak zwykle, nie tracił humoru, śmiał się z nas i burczał na przemian.

„A to mi zuchy! deszczu się boją! cóż u diaska z tą młodzieżą dzisiejszą? Liliputy z was, mazgaje. Kazia żona spieściła, rozmazgaił się, ale ty panie Zdzisławie! Sanoczanin! A toć sanocka szlachta tęgie były chłopcy. Nocować przecież nie będziemy; was wsadzę do koczyka, nakryję dachem, a sam siądę na wózek z Kubą i pakunkami."

„A, co na to, to nie ma zgody" zawołał Kazio. „Wujaszek pojedzie w koczu ze Zdzisławem, a ja na wózku."

„Co mi tu aspan będziesz rozkazywał. Słuchać komendy starszego i kwita. Zaprzęgaj Jacenty, zaprzęgaj Kuba, pojedziemy w imię Boże, jakoś to będzie."

Na nic się nie zdał opór, pan Józef siadł na wózek, Kuba zaciął konie, a my z Kaziem musieliśmy już jechać w powozie.

Z Tarnowa przez Nowodworze, Porębę, Zabłędzę jechało się nie źle, ale przed Tuchowem kapuśniak zamienił się w ulewę, bo wiatry napędziły nową warstwę chmur czarnych, brudnych, gęstych. Woda już strugami ściekała do kocza, zalewała drogę, konie łby pospuszczały, powciągały ogony, a Jacenty mruczał.

Pan Józef, jadący przodem, skręcił do karczmy na „Psiej górce", co się nam wszystkim spodobało, a pewno

i koniom, bo bez rozkazu Jacentego zerwały się dobrym kłusem za wózkiem.

Podmoczeni wydobywamy się z powozu, a pan Józef stał już z kieliszkiem na nasze przyjęcie.

„Ot, chłopcy, trzaśnijcie gorzałki. Do ciebie, panie Zdzisławie.“

Wypił, otrząsł kieliszek, zamącił wódkę we flaszce, by pokazać na perełkach, że niezła i nalał mi, a dawszy kieliszek w rękę, kawałek chleba pocisnął po soli i dał mówiąc:

„To mi przekąska do wódki: sól i chleb a nie wasze modne pierniki.“

Wychyliłem dla miłości pana Józefa kielich bernardyński czystej szabasówki, że aż oko zbielało, zakąsiłem zachwalonym chlebem pana Józefa, a potem Kazio napił się do Jacentego, Jacenty do Kuby.

Z guni pana Józefa ściekała woda, chociaż miał na niej płaszcz gutaperkowy; ale stary żołnierz humoru nie tracił, fajkę na krótkim cybuchu zapalił i znalazł temat do przymówek „liliputom.“

„O! te wasze papierosy! Moda bez sensu. Szmatę palić! A dym w oczy lezie, a od papieru aż kwaśno w ustach.“

„Trzeba się przecież stosować do zwyczaju“ rzekł Kazio. „Przecież wujaszek przyzna, że jakoś te fajki już tylko starszym do twarzy.“

„A, mój dobrodzieju! Przepraszam, dajno Kubie paczkę węgierskiego, czy nie zapali fajki? A przecież niestary.“

„Co dla Kuby przyzwoite...“

„Myślisz panie Kazimierzu, że nieprzyzwoicie palić

fajkę? No, gdyby tak było, toby do aresztu zamykano tych, co fajki palą."

„Wujaszek żartuje, mnie już strach zbiera, jak się dostaniemy do domu. Wszak to już siódma, zaczyna się ściemniać, a jeszcze mamy dwie mile."

„Możebyś tu chciał nocować? co?"

„Powiem szczerze, że nie byłbym od tego" odpowiedział Kazio.

„A żona w domu niespokojna. Tak to żonę kochasz? A herbata jutro u Stefanii i oświadczyny pana Zdzisława; taki z ciebie przyjaciel?"

„Przenocujemy, a raniutko wyjedziemy świtem. Konie odpoczną, ludzi mi żal..."

„Ej, najbardziej żal ci samego siebie. Słuchaj chłopcze starego. Osuszyliśmy się, ogrzali, konie odpoczywały godzinę, każ ludziom siadać na kozieł i pojedziemy, a jakoś to będzie."

„A cóż ty na to, Zdzisławie?" zapytał mnie Kazio.

„Jestem na twoim wózku, więc stosuję się do panów, ale jeżeli mam prawdę powiedzieć, to sądzę, że może już lepiej dostać się na noc do domu. Boję się, aby twoja pani nie była zbyt niespokojna."

W kwadrans byliśmy już koło klasztoru tuchowskiego.

Deszcz ustawał zwolna i już tylko rosił, ale wody rozlały bardzo. Biała zapuściła się aż pod dwór tuchowski, w Kielanowicach tartak zerwany, gościniec zalany koniom powyżej kolan.

Przez Bistuszowę przejechaliśmy nieźle. Ciemno już było, że o pięć kroków nic ani widać, latarnie u powozu

nie na wiele się zdały, sypiąc na wodę i błoto dwa pasma żółtego połysku.

Zjeżdżamy wreszcie z Uniszowskiej górki ku Ryglicom, a tu niby jezioro przed nami. Łąki, pola, wszystko zalane, wierzby tylko wychylają się ponad wodą, gdzieniegdzie stos kamieni świadczy, żeśmy nie zjechali z gościńca.

Mając przydrożne drzewa za przewodników, brniemy po wodzie. Ba! koniom już sięga woda po brzuchy i koła przednie pokrywa.

„Wio, wio!“ woła pan Józef „jakoś to będzie!“

Konie łby wyciągają, jakby się do spłynięcia gotowały; Kazio posmutniał, a i mnie jakoś nieraźno było w duszy.

Ujechaliśmy z kilka stajań, aż tu woda coraz głębsza, zaczyna się pchać do powozu.

„Byleśmy proszę wielmożnego pana koło garncarza przejechali, to już dalej będzie dobrze, bo tu najniżej, a za garncarzem gościniec się podnosi“ medytował Jacenty.

„A uważaj, Jacenty, żeby się dyszlowy nie zrywał; naręcznego popędzaj.“

„O, proszę wielmożnego pana, już dyszlowy sapie; ognisty koń, ja go ściągam, ale konisko się rwie strasznie.“

„Ot widzisz, Zdzisiu, co mi wuj narobił z tem swojem „jakoś to będzie.“ Gotówem stracić najlepszego konia.“

„Ho! ho! Stój! kto jedzie?“ odezwał się przed nami krzyk głośny, donośny i zajaśniało światło na żerdzi.

„A co tam?“ huknął pan Józef.

„Nie można jechać, mostek na młynówce zerwany...“

„A cóż ty tu robisz, poczciwy człowieku?“

„To co widzicie“ odpowiedziała postać do połowy brnąca w wodzie, trzymająca w ręku żerdź z palącą się smolną wiechą.

„A któż cię tu postawił?“

„A no, dróżnik. Zmieniamy się co chwilę, jest nas do tego sześcioro. Juściby przecie jeden nie wytrzymał w wodzie całą noc.“

„A cóż my teraz zrobimy?“ zapytał Kazio już nie smutny, ale prawie zrozpaczony.

„Ej, do kaduka“ odezwał się pan Józef „jakoś to będzie. Kuba, spróbujno nawrócić.“

„Proszę jegomości, to na nic, gościniec wąski, przykopy głębokie, a we wodzie z miejsca się nie skręci, tobyśmy się w przekopie zatopili.“

„A no, to odprzęgać konie od dyszla, a przyczepić z tyłu i wrócimy do karczmy na uniszowskiej górze!“ zawołał Kazio.

Jacenty się rozebrał, wlazł do wody, a Kuba nawet się i nie rozbierał. Zaczęli odpinać orczyki, ale robota nie szła, bo woda pokrywała dyszle. Namęczyli się sporo, ale daremnie, aż z boku pokazało się światło i głos się odezwał:

„A co tam za ludzie?“

„A no, od Tarnowa jedziemy“ — odezwał się Kazio. — „A kto wy jesteście?“

„Kto? A juści Wawrzyniec Smolik, gospodarz z tej chałupy.“

„A gdzież ta chałupa?“

„Gdzie? adyć przy niej stoję.“

Tak było ciemno, że nikt z nas nie mógł zobaczyć domostwa, co stało o trzydzieści kroków od drogi.

„A możnaby się do was dostać? Chałupa niezalana?“ — zapytał Kazio.

„Na pagórku stoi; woda na łokieć od przyciesi, ale chałupa nowa, jeszcze z jednej strony nie poszyta. Poszywałem dach, aż woda jak się puści, tak i nie miałem czasu dostać się do domu, do starej chałupy.“

„Macie tam słomę w chałupie?“

„Słomy dość, ale co jeść, to nie ma nic. A jakem wyszedł po śniadaniu z domu, tak o tem jestem.“

„Słuchajcie, Wawrzyniec!“ zawołał pan Józef „my was zaprosimy na wieczerzę, a wy pod dach i jakoś to będzie.“

„A no, czemu nie? Ale jak się tu panowie dostaną, kiedy woda w pas na gościńcu, a potem przykopa szeroka i głęboka, coby wlazł teraz do niej po szyję, a możeby nakryło z głową.“

„A deski tam nie macie w chałupie?“

„Coby nie, d y ć chałupa nieskończona, to mam tu oszwarów kilka i coś dwie tarcice, a i kobylice są.“

„A no to i dobrze. Słuchaj Kaziu. Naprzód jechać nie można, w tył nie nawróci; możnaby poodcinać postronki, odpiąć konie i konno pojechać do karczmy, ale cóżby się stało z powozem i rzeczami? Otóż konie odpiąć i odprowadzić na Uniszowską górę, a my u Wawrzyńca przenocujemy.“

„Skoro wujaszek zawsze mówi: „jakoś to będzie“, niechże teraz wuj robi, co chce, aby jakoś było.“

„A będzie jakoś, będzie!“ — odpowiedział pan Józef trochę rozgniewany. „Kuba, dawaj mi lejce do garści.

Jacenty, daj lejce panu. Złaźcie chłopcy. Wawrzyniec, dajcie tu tarcice i kobylice; chłopcy, pilnujcie, żeby nie spłynęły! Wawrzyniec, postaw jedną kobylicę, połóż na nie tarcice. Chłopcy! chwytajcie tarcice, a kobylice macie?"

„Jest, jest, dobrze ją cisnął."

„Postaw, połóż deskę. Wawrzyniec, trzymaj, trzymaj co siły; chłopcy trzymajcie, a dobrze. Panie Zdzisławie: naprzód, marsz na deskę."

Z powozu jednym krokiem wprost wstąpiłem na ten most improwizowany; deski się uginały, woda huczała pod nogami, ale kilka kroków i już byłem przy Wawrzyńcu.

„Kuba, utrzymasz sam?"

„Coby nie."

„Jacenty, do koni. Kaziu, dalej na most, marsz."

Chwilka, i już Kazio stał koło mnie. Wózek z panem Józefem był na przodzie tak, że z tym mostem nie można się było do niego posunąć. Pan Józef przywiązał lejce do kozła, zeskoczył do wody, brnął do pasa, wdrapał się na deski i już był przy nas.

Tak prędko to zrobił, że nie mieliśmy czasu ani spostrzedz, co się dzieje, ani go powstrzymać. Otrzepał się z wody i komenderował dalej:

„Odcinać postronki, odpinać konie i wio na Uniszowską górkę. A pamiętać powymiatać żłoby, koniom dobrze podesłać. Jacenty ze swemi końmi zostanie w karczmie, a ty, Kuba, kupisz świec, ile ich tam znajdziesz choćby z pół tuzina, przywieziesz chleba ze cztery bochenki i jaj i wódki szabasówki flaszkę. Z tobą na drugim koniu niech przyjedzie stróż z karczmy, ale do-

wiedz się u żyda, czy to nie złodziej. Rozumiesz? Bo on z twemi końmi do karczmy wróci, a ty będziesz siedział w powozie i co dziesięć pacierzy hukaj, co cię sił stanie. No, dalej chłopcy do roboty.“

W pół godziny był już Kuba z prowiantem, stało się według komendy pana Józefa. Kuba dostał dwa kielichy gorzałki, bochenek chleba i garść soli, ukrył się w powozie i zajadając dumał może o Jagusi, a może o tem, że panom wygodniej było pod strzechą.

Wawrzyniec rozpalił ognisko, wody nie brakło, garnek się znalazł, bo z niego polewał Wawrzyniec słomę do poszycia, ugotowały się jaja, poszła szabasówka kolejką i chleb ze solą znikł prędko.

Wawrzyniec, kontent z wieczerzy, szabasówką dobrze zaprawionej, wnet zakopał się w słomę i usnął, a pan Józef, susząc przy ognisku całą garderobę, puszczał dym z fajeczki i dogadywał „liliputami“.

„Trzeba nam to było tego?“ — rzekł skwaszony Kazio. „Mogliśmy byli wygodnie przenocować na „Psiej górce“ i ludzie byliby się nie pomęczyli i konie nie sforsowały. Powozik nowiuteńki zniszczy się na nic; wózek świeżo lakierowany!“

„A tobie tylko to w głowie! Co to za sknera! Bądź kontent, żeś tylko milę od żony.“

„Niech wujaszek wybaczy, ale to nasze staroświeckie „jakoś to będzie“ należałoby już raz usunąć i z myśli i z mowy i z życia.“

Pan Józef wyjął z ust fajkę, stanął poważnie i stanowczo, energicznie, jakby miał karcić za takie bluźnierstwo, rzekł wzruszonym, drżącym głosem:

„Dajno spokój temu, czego nierozumiesz. To, z czem

żyli ojcowie nasi przez wieków tyle, to nie grat stary, coby go wyrzucić na śmiecie, gdyby nowa moda nastała. To, mój chłopcze, coś więcej niż ślepy nawyk, to streszczenie wiary, głębokiej, silnej wiary, co broniła Częstochowy przed Szwedem, co nie dawała zginąć, chociaż się upadało i legło. To, mój Kaźmierzu, stary przyjaciel i pocieszyciel nasz, to dobrodziej, co życie ocala. Czemu to u nas za dawnych czasów mało kiedy się słyszało, żeby ktoś targał się na życie własne? Chyba szaleniec jaki w przystępie tej ciężkiej choroby. Czemu? Bo świat go opuścił, opuścili ludzie, stracił mienie, wziął torbę żebraczą, ale miał w sercu Boga i powiedział sobie: „jakoś to będzie“, „Bóg nie opuści“. Żył, przetrwał, przebrnął przez nieszczęście i jeszcze dola mu się zmieniła i Bóg był z nim, bo wierzył Bogu, „że jakoś to będzie“.

„Ho! ho! ho!“ — odezwał się już po trzeci czy czwarty raz głos Kuby.

Pan Józef wyjrzał przez okno.

„A co tam nowego?“

„Proszę Jegomości, mnie się widzi, że woda opada, już widać sprychy na kołach. Wiatr się rusza od wschodu.“

„Nie zimno ci, Kuba?“

„E, chyba nie. Odziałem się derami.“

„A palisz fajkę?“

„A jużci, z łaski Jegomości. Ale mi tego węgierskiego żal, bom go chciał schować od święta.“

„A no, nie bój się, będzie i na święta. A zahukaj jeszcze z kilka razy nim zaśniesz.“

„E, ja tam już spać nie będę; a jeszcze by kto z wózka co ściągnął!“

„A no, to i lepiej, to się za to jutro wyśpisz, jak Bóg da wrócić. Ot, jakoś to będzie!“

„A no jużci, proszę Jegomości, jakoś to będzie za łaską Pana Jezusa i Najświętszej Panny.“

„Słyszałeś?“ — rzekł pan Józef, wracając od okna. „Lud ma swoją filozofię, wyrobioną w wierze i cierpieniu.“

„Szanuję bardzo“ — odpowiedział Kazio — „nasze tradycye, nasz obyczaj i wiary mi nie brak, libertynem nie jestem, ale pozwoli wujaszek, że to nasze „jakoś to będzie“, jest po prostu wyrazem naszej narodowej lekkomyślności, a nie filozofią ani wynikiem wiary. Jest to wróg nasz, nieprzyjaciel, niszczyciel nie dobrodziej.“

„A z jakiejże to racyi, jeśli spytać wolno.“

„Ile to tych racyj codziennie się spotyka. Jeden wydaje nad możność, niszczy mienie i pociesza się, że „jakoś to będzie“; drugi traci zdrowie w bezmyślnych hulankach i wmawia w siebie, że „jakoś to będzie“. A ileż to błędów politycznych popełniliśmy, ileż klęsk doznali, bo nam brzmiało w uszach: „jakoś to będzie“.

„Panie Zdzisławie, dorzucajno tam do ogniska, a objaśniaj też łojówkę, żeby knot nie spadł i słomy nie zajął. A ty, mój Kaziu, palnij jeszcze gorzałki, boś kwaśny i kwasem gadasz, jak filozof niemiecki. Co głowa to rozum, co naród to charakter, a z bożej woli i nie zmienisz go bracie. Niemcowi rozumować, Polakowi wierzyć. Powiadasz, że to nasze „jakoś to będzie“ otwiera drogę do lekkomyślności, ba, do nieszczęścia! do zguby! A no, powiedzże mi, czy ogień nie jest nieszczęściem, gdy spali komu domostwo, stodołę, czy woda dzisiejsza nie jest nieszczęściem? Więc dlatego proś Boga, by

wszelkie zarodki ognia wytępił tak, by go z niczego wykrzesać nie było można; więc proś Boga, by ci wysuszył oceany, rzeki, studnie, źródła wszelkie i rosy ci nie dał, nie dał ni deszczu! Świat byłby niczem i życie stałoby się ciągłym bez ruchu spoczynkiem, a więc śmiercią, gdyby nie było tego, co nieszczęściem nazywasz i z czem musimy walczyć, gdyby na odwrót nie było szczęścia, które zdobywać pragniemy.“

„Wujaszek gniewa się na rozumowanie niemieckie, a sam w nie popada.“

„E, mój chłopcze, to nie rozumowanie, co powiadam, i tak mówisz, boś jeszcze kwasu z serca nie wyrzucił. To, mój synu, prawda, którą i ty widzisz i każdy, kto ma oczy.“

„Nie zaprzeczam.“

„A skoro tak, toć zrozumiesz, że trudno powiedzieć, co jest absolutnie złem. Nie użycie, ale nadużycie jest grzechem. Otóż ani w myśli zawartej w tem naszem „jakoś to będzie“ nie ma klucza do lekkomyślności, ani w brzmieniu wyrazów. Klucz do lekkomyślności jest w człowieku samym.“

„Ho! ho! ho!“ — zawołał Kuba.

„A co tam?“

„A no, proszę Jegomości, już się gwiazdy pokazują, a sprychy widać dobrze, już i dwie kupki kamieni wylazły z wody.“

„Za łaską bożą do rana jakoś to będzie!“

„A no jużcić, proszę Jegomości, chyba tak; za łaską Pana Jezusa i Najświętszej Panny jakoś będzie.“

„A cóż, panicze“ — zwrócił się do nas pan Józef — „nie będziecie spali?“

„Powiem szczerze, że mnie ta rozmowa bardzo zajęła“ — odezwałem się do pana Józefa — „i chociaż walczyłbym z tem „jakoś to będzie“, przecież nie mogę nie przyznać, że pan major ma za sobą wiele słuszności.“

„Co to wiele? Ja mam całą słuszność. Słuchaj tylko, skoroś ciekaw. Zapewne, jeżeli kto sobie mówi: „jakoś to będzie“, aby przed sobą samym lekkomyślność usprawiedliwił, to źle, to ogień, co pali stodoły, to miecz w ręku szalonego. Ale, że szalony mieczem nie umie władać, to dlatego połamać wszystkie pałasze i rozpędzić wszystkie armie całego świata? A gdy cię zbój napadnie, czyż miecz nie jest twoim dobrodziejem? A nie napada na nas zbój niemal co dnia w życiu? A tym zbójem: przeciwności, nieszczęścia, a niekiedy rozpacz. Czem się obronisz rozpaczy, jeżeli nie tą wiarą w Boga, która ci musi powiedzieć: „jakoś to będzie“. Co mówię, to mi dyktuje doświadczenie siedmdzisięciu lat życia przebolałego, a zawsze pogodnego. Oj, gdybyś ty wiedział, panie Zdzisławie, co się to spotykało po drodze życia! A możebyś spać wolał? Nie. To dorzuć do ogniska, bo mnie już coś kości bolą i nie chce mi się ruszać. A może ty zaśniesz Kaziku?“

„Nie mogę ustąpić z placu bitwy, dopóki mnie wuj nie przekona, albo ja nie zwyciężę. Walczymy o to „jakoś to będzie“, walka musi się skończyć.“

„Zdaje mi się, mój Kaziu“ — wtrąciłem — „że obaj broń złożymy.“

„Ja nie tak prędko, bo jeszcze odżałować nie mogę, żeśmy sobie wygodnie pod Tuchowem nie przenocowali.“

„Otóż to cecha waszego charakteru, całej waszej generacyi; jedna mała niewygoda, drobna nieprzyjemność,

a już i humor i fantazya opadają i bezsilność depce po was i zgniata was, ubezwładnia lub zakwasza. Co za duch u was mieszka?"

„Ależ, wujaszku drogi, co przeciw temu, to oponuję. Co tu ma duch do czynienia? To przecież po prostu nerwy rozdrażnione, a nic więcej."

„I te nerwy, nerwowe dziecko nerwowego wieku, mają rządzić tobą? Nie nerwy, nie krew rządzą człowiekiem, ale duch, jeno go trzeba umieć uczynić swym panem."

„Prawda, co na to, to zgoda najzupełniejsza" — zawołałem. „Hasłem wieku: byt czy dobrobyt ciała, walka o byt, ulepszenie bytu i tam dalej, a toć i duchowi i sprawom jego w kąt iść się kazało. Dziwnie ludzkość balansuje od jednej do drugiej ostateczności Najskrajniejszy idealizm, zatopienie się w niebie, ciągłe wzlatanie duchem po nad ziemię; anachoreci, asceci, fanatyzm religijny, biczowania, to znowu: siła przed prawem, praca ekonomiczna, dobrobyt, handel, przemysł, wskazywanie dźwigni materyalnego szczęścia. Podobno zbankrutujemy „cywilizacyjnie" na tych przedsiębiorstwach materyalizmu, jakeśmy zbankrutowali na zbyt idealnych porywach."

„Tak, tak" — przerwał pan Józef — „bo człowiek nie jest ani duchem samym, ani samem ciałem, ale zespoleniem jednego i drugiego. Ludzkość jak pijana, to się zatacza pod płot na prawo to na lewo, a kiedyż się wytrzeźwi i pójdzie środkiem, przytomna, świadoma siebie, świadoma prawd cywilizacyi chrześciańskiej?"

„Ho! ho! ho!" — odezwał się znowu Kuba.

„Panie Kaźmierzu, skoro nie śpisz, do okna“ — zakomenderował pan Józef.

„A co tam nowego?“ zapytał Kazio.

„Proszę wielmożnego pana, już mało co wody. A to ci tak opada, jakby ją kto spędzał. Już koła wylazły, a gwiazdy świecą, aż miło. Za łaską bożą do rana jakoś to będzie.“

„Możebyś się napił gorzałki?“

„Za łaską wielmożnego pana, toby się tam i napiło, bo to już ku świtaniu i ciarki idą po kościach.“

Kazio podał Kubie szabasówki przez okno. Już nie trzeba było ani kobylic, ani tarcic, żeby się dostać do naszego domostwa. Wyjrzałem na pola. Ptaki się trzepotały na drzewach, zimno przedporanne krzepiło, cicho było, spokojnie, zdala szumiała Młynówka, a gwiazdy patrzyły na nas jasne, litościwe, pełne nadziei, pociechy.

Pan Józef nałożył nanowo fajeczkę, puścił kłęby dymu, dźwignął się ze słomy, usiadł na ławie i ubierał się w osuszoną garderobę.

„Dorzuć tam do ogniska, panie Zdzisławie, dopiero wpół do trzeciej, jeszcze z godzinę do słonka. Ot, dobrześ powiedział, że jeszcze ludzkość nie weszła na drogę właściwą, prawdziwie chrześciańską, na drogę sprawiedliwości, miłości, uczciwej wiary, na drogę rzetelnej cywilizacyi. Ale nie traćmy wiarę, nie traćmy.

Hej! hej! Gdzie się to bywało? Byłem rotmistrzem ułanów. Nasz szwadron musiał wziąć na lance cztery szwadrony dragonów nieprzyjacielskich. „Marsz, marsz!“ krzyknąłem na wiarę i poszliśmy do ataku, a każdy westchnął do Boga i pomyślał: e, co tam, chociaż

na nas cztery szwadrony, jakoś to będzie! I było jakoś, bo nieprzyjaciel ustąpił.

A wiesz, że przyszła chwila, w której zobaczyłem się bez grosza na chleb powszedni, bez dachu, a jednak powiedziałem sobie, „jakoś to będzie“ i było. Przypiąłem fartuch, poszedłem za prostego robotnika do garbarni i gwizdałem sobie wesoło, jak kiedyś na czele szwadronu, albo na siedmiu folwarkach, co mi je rodzice zostawili. Bóg dał, żem się dobił i stanowiska i grosza i ożeniłem się i byłem szczęśliwy, tak szczęśliwy, że mi szczęścia aniołowie w niebie zazdrościć mogli. A Bóg mi zabrał syna, co już był tęgim wyrostkiem i córkę, co już umiała sukienkę uszyć lalce, aż wreszcie i żonę najpoczciwszą, świętą kobietę.

I zostałem sam na świecie, sam jeden. Com kochał, co mnie kochało, zamknęło się w trumnach i byłem sierotą po rodzicach, po żonie, po dzieciach, po... ej, co tam ci mówić. Serce pękało, łzy trzęsły się w oku, a jednak jasno mi było w duszy, bo roztwierałem ją ku temu światłu, co spływa ztamtąd, z góry, od Boga!

Wierzajcie mi chłopcy, wierzajcie staremu, że wiara to wszystko. Komu na drodze życia wyschły te źródła żywot dające: wiara, nadzieja i miłość, ten nie umrze dopiero, ale już umarł.“

Zarumieniło się w chacie, słoneczne światło darło się ku ziemi, płynęło po gwiazdzistem, pogodnem niebie, ustępowały mu gwiazdy i mroki zachodnie, aż na głowę starca spłynął pierwszy promień wschodzącego słońca.

Kuba już nie hukając wszedł do chaty.

„Niech będzie pochwalony!“

„Na wieki wieków!“

„A no mostek naprawiają, niedługo przejedziemy.“

„Idźże Kuba na Uniszowską górkę do koni, siądź na karego i zajedź tu do nas“ rzekł Kazio.

„Cóż to będzie“, zapytał pan Józef.

„Poszlę go z biletem do dworu, do Ryglic, żeby nam pozwolono samowaru, herbaty. Juścić ogrzać się musimy.

„Co wam ta herbata tak weszła dziś w głowę? Ziółka dla chorego!“

„A możeby lepiej było“ odezwałem się do Kazia „nie tracić czasu i jechać do domu, bo tam żona twoja niespokojna.“

„No, widzisz, mostu nie naprawią jak za dwie godziny. A nim konie zaprzęgną, postronki przywiążą, to i czas ujdzie, a tymczasem napijemy się herbaty i jakoś to będzie.“

„Kaziu! co ty mówisz? Powtarzasz słowa pana majora.“

„Co? powiedziałem?“

„Najwyraźniej.“

„Ha! bo widzisz, słońce mnie jakoś rozweseliło.“

„Cóżeś to nie wiedział, że słońce zejść musi, bo takie prawo boże?“ zapytał pan Józef.

„Bo to widzi wujaszek...“

„Nerwy!“ rzekł pan Józef przerywając, „nerwy, prawda? co? O! te nerwy wasze.“

We dwie godziny, wysuszeni, a choć nie wyspani, przecież w dobrym humorze, jechaliśmy kłusem, wszyscy trzej w koczyku. Za Ryglicami musieliśmy się zatrzymać pod górą, przez którą ku Joninom się zjeżdża.

Powóz w cztery konie, stangret, lokaj, dwie damy,

wszystko to chaotyczną tworzyło grupę, a niespokojną, pełną ruchu. Zajęli gościniec tak, że niepodobna było przejechać. Lejcowe konie stanęły na poprzek i rwały się, kręciły łbami, podnosiły ogony, a stangret aż się cały w tył podał i nogi wbił w błoto i kamienie, żeby konie ściągać. Lokaj dłubał coś koło powozu, a jedna z pań gniewała się i zrzędziła, druga młodsza, dość obojętnie stanęła opodal.

Jacenty się zatrzymał i dawał różne znaki biczyskiem batoga, ale daremnie się wysilał, bo niesforne konie nakręcić się nie dawały.

„Widocznie jakiś wypadek“ odezwał się Kazio, „wypadałoby może pomódz tym paniom.“

Skoczył i pośpieszył ku podróżnym kobietom, a za nim i ja się zerwałem.

„Czekaj Kaziu, pójdziemy razem.“

„I owszem. Ale kto to taki? Znam przecież całą okolicę, a nie widziałem dotąd ani tych pań, ani tego ekwipażu.“

„Mnie się zdaje, że znam te panie. Patrz Kaziu...“

Nie było czasu dokończyć, bo starsza zbliżyła się ku nam i nie czekając na nasze powitanie, żwawo przemówiła.

„Prawdziwe szczęście, żeście panowie nadjechali. Raczcie panowie kazać swoim ludziom, żeby nam pomogli.“

„Co pani rozkaże?“

„Coś tam przy kole się popsuło.“

Kazio zaczął się przypatrywać kołom, a ja kobietom.

„Czy mnie oczy nie mylą“ pomyślałem. „Cóż to za złudzenie? Patrzę na młodą i... widzę Brońcię, tęż samą

Brońcię, w której przed dziewiętnastu laty kochałem się przez mur, Dalibóg, Brońcia!“

To też zagapiłem się tak, że chwilę patrzyłem jak osłupiały, a panienka patrzyła na mnie. Sytuacya stała się dla mnie ambarasująca. Ta niby Brońcia, widocznie córka. Nie przedstawiłem się jeszcze matce, jakże się córce przedstawiać? Mamie zaś nie można, bo z Kaziem pilnie oglądają koła u powozu. Na szczęście skończyły się badania i mama z Kaziem wrócili ku nam.

Kazio pobiegł do naszych koni, wziął lejce od Kuby, a jego posłał na pomoc. Tymczasem przedstawiłem się mamie, a no i córce tem samem, ale chociaż grzeczność nakazywała zainteresować się ich przygodą, nie mogłem słowa przemówić, bo i mama niby Brońcia, chociaż już nieco antykwarskiego rodzaju. Patrzę na jedną, na drugą, aż córka oczy spuściła i zaczęła końcem parasolki pisać deseniki na ścieżce, a mama uśmiechnąwszy się przerwała mój kłopot.

„Dziwi pana, że spotykasz osoby obce w tej okolicy“.

„Chciałem właśnie przypomnieć sobie...“

„Czyśmy się gdzieś nie poznali?“

„Tak pani, bo zdaje mi się, że już miałem gdzieś szczęście przedstawiać się paniom.“

„Być może, wszakże tylu panów poznajemy u wód, na balach... niekiedy w ogrodach...“

Ostatnie słowa wymówiła z naciskiem znaczącym.

„Ach! Pani, czyżbym może...“

„Teraz się już pan gramatyki zapewne nie uczy.“

„A więc pani Zarańska...“, rzekłem i uradowany czegoś i zmięszany.

Strzeliły mi przed oko wspomnienia lat dziecięcych

i Hansburg i ś. p. Markowicz i Rudolf i mur i fatalna altana i zdało mi się, że dzwonią do szkoły, że mnie czeka „szuba“ z matematyki od Schreia, że Wegebauer wykłada botanikę, a Klimpfinger podkłada sobie na katedrze czerwoną chustkę pod łokcie. W kilku sekundach przeżyłem ponownie lat 19.

„A więc witam pana, jako dawnego znajomego“, powiedziała mama Brońcia i podała mi rękę.

„Pozwoli pani, że jako dawny znajomy ucałuję rączki, a niech mi wolno będzie i z panią przywitać się jak z dobrą znajomą“, rzekłem, zwracając się do córki.

Podałem jej rękę i doznałem jakiegoś błogiego, tak błogiego uczucia, że mi się zdawało, iż ta ręka w mej dłoni na zawsze zostać powinna. Stefania stanęła mi przed oczyma, ale rzecz dziwna: przywidziało mi się w tej chwili, że ma sporo zmarszczek na czole.

„Proszę wielmożnej pani“ rzekł nasz Kuba, obejrzawszy powóz „a dyć to głowa całkiem spękana, a oś złamana. Kajsi musiało szturnąć o kamień, oś pękła, a zgięła się i rozsadziła głowę. Nijakim sposobem nie ujedzie z takiem kołem.“

Tymczasem wujaszek drzemał w powozie, a Kazio niecierpliwić się zaczął. Zarzucił lejce i okręcił koło kozła, zeskoczył, przybiegł do Kuby.

„Poradziłeś?“

„Kaj ta, kaj temu poradzi, proszę wielmożnego pana; to ino patyka poszukać, podłożyć i tak zaciągnąć powóz, bo tak jak się patrzy już nie pojedzie.“

„Nie ma innej rady, tylko panie raczą przyjąć nasz powozik, a my się na wózku wygodnie pomieścimy. Do nas zaledwie jeszcze pół mili, moja żona będzie bardzo

szczęśliwa z łaskawych gości. Kołodziej i kowal są u mnie we wsi, powóz się naprawi.“

„Z uprzejmości panów musimy już korzystać“, powiedziała mama i ku największemu zmartwieniu mojemu zaprosiła do siebie Kazia, co jużcić należało mu się, jako gospodarzowi.

Pan Józef zbudził się i jakby nie drzemał wcale, z całą świeżością, posuwiście przystąpił do pań i rozmawiał żywo, jakby się znali oddawna, a tymczasem przywiązywano drąg do powozu i gotowano się do wyruszenia w drogę.

„Znałem Zarańskiego Romana, był kapitanem w artyleryi konnej“, rzekł pan Józef, dowiedziawszy się o nazwisku podróżnych pań.

„Pan Roman był ojcem mego męża Zygmunta.“

„Nie żyje już?“

„Umarł w późnym wieku. Liczył już siedmdziesiąt lat.“

„Siedmdziesiąt? Ależ mocia dobrodziejko, to wcale nie jest wiek późny. Ja liczę z okładem siedmdziesiąt, a jeszcze nie mam się za starca i jeszczebym stanął do ataku jak niegdyś. Ś. p. pan Roman, dzielny żołnierz, dobry kolega. Raz pamiętam, staliśmy całą brygadą...“

„Proszę wielmożnego pana, już wszystko gotowe“, rzekł Kuba.

„Niechże pan dobrodziej z nami“ rzekła mama.

Wujaszek siadł z panią Zarańską, córeczka na przodzie, a zaproszony pierwotnie Kazio i ja znaleźliśmy się na wózku. Powóz pani Zarańskiej wlókł się za nami. Kazio był widocznie zły, bo mu już pilno było do domu, a straciliśmy z godzinę czasu; ja byłem także w nie-

szczególnym humorze, bo mi żal było, że nie siedzę na miejscu wujaszka.

„Ej, cóż mi tam te dziecińistwa“ myślę sobie. „Wielkie rzeczy! Spotkanie przypadkowe, wspomnienie lat dziecięcych, ot, co tam? Trzeba myśleć o tem, do czego się jedzie. Stefania... ba! Stefania ma trzy zmarszczki na czole.“

„Zkąd się te baby tu wzięły?“ rzekł Kazio, przerywając milczenie.

„Czyś ich nie poznał jeszcze?“

„A zkądże je mam znać? Pierwszy raz widzę.“

„A pamiętasz ty Brońcię, Kamilcię, odę moją, elegię swoją, Macieja, kolegów na murze, Hansburga?...“

„Co? co?...“

„Wszak to Brońcia z córką!“

„Ej!“

„Jużeśmy się poznali i przypomnieli sobie.“

„Brońcia? Cóż u djabła, żem jej nie poznał?“

„Boś ty zawsze Kamilcią był zajęty.“

„A to ciekawe! Ale co ona tu robi? Wszakże Zarański ma dobra w stryjskiem i tam podobno mieszkali.“

„Hm! hm! tego już nie wiem.“

„Słuchaj Zdzisiu! Jak się oświadczysz Stefanyi, to nie mów jej nic o tem, żebyś chciał mieszkać u siebie...“

„Czemu?“

„No, bo widzisz, onaby chciała, aby mąż był u niej, a nie ona u męża.“

„Doprawdy?“

„A no tak. Cóż tam obwijać w bawełnę.

„A wiesz, Kaziu, że ona ma jakieś straszne oczy...“

„Cóż pleciesz?“

„Nie uważałeś?“

„Głupstwo! Piękna kobieta.“

„Ale to musi być heród baba.“

„Cóż znowu?“

„Tak mi się zdaje.“

„Jedziesz na zaręczyny i tak mówisz o narzeczonej?“

„No, ona mi się podoba, ale widzisz... Czy uważałeś, jak córka do matki podobna? A to cała Brońcia.“

„Tak?... A niech tam sobie...“

„Pamiętasz, jaka to Brońcia była śliczna? Ach! te nasze bukiety!...“

„Ot! głupstwo studenckie.“

„Jak też córce na imię, bardzom ciekawy?“

„A niech tam... Cóż ci po tem?“

„Ot, tak. Jak oni prędko jadą.“

„Jacenty dureń, konie mi podpali.“

„Wiesz, taki jestem zmęczony, niewyspany, że nie wiem, jak dziś będę u Stefanii...“

„Prześpisz się u mnie. Za kwadrans będziemy w domu. O, już widać krzyż przy drodze.“

„Czy już tak koniecznie ułożono, że dziś mamy być u Stefanii?“

„A no, naturalnie, nie może być inaczej.“

„Czegoś mnie głowa boleć zaczyna. Czy ona ładna?...“

„Kto?“

„No, Stefania; ale dlaczego ona pali papierosy i powozi końmi? To jakoś niestosowne dla kobiety.“

„Ho! ho! a czy to ona jedna?“

„Patrz, patrz, córce Zarańskiej spadł kapelusz z głowy. Stanęli, biegnę...“

Zerwałem się, popędziłem i podałem kapelusz.

„Uważaj, Jadwiniu“, rzekła matka.

Jadwinia podziękowała, podałem jej rękę i żal mi było odchodzić.

„Wio, wio!“ zawołał pan Józef.

„A, nieznośny majorze!...“ coś mi szepnęło w duszy. Siedzę znowu z Kaziem. Milczymy zawzięcie. Skręt, mostek. Jesteśmy przed gankiem.

* * *

Kołodziej i kowal cały dzień naprawiali powóz. Wieczorem nie można było wypuścić gości, pani Kazimierzowa nie mogła wyjechać, mnie głowa bolała; Kazio wysłał bilet przepraszający do pani Stefanii.

Państwo Zarańscy przenieśli się przed miesiącem ze stryjskiego w jasielskie do jej majątku, a Zarańska wracała teraz z Tarnowa do domu.

Nocować musiała w Ryglicach u Jankla.

* * *

W pół roku odbyło się moje wesele z Jadwinią, chociaż posagu dostała tylko trzy folwarki.

Do Stefanii konkurowało trzech różnego wieku kandydatów, aż się po roku ożenił rotmistrz od dragonów i został pantoflem, ale to pantoflem, jakiego dotąd w kronikach małżeńskich nie znano. Kazio martwił się bardzo, że zamiast pięciu folwarków, na trzech poprzestałem, pan Józef trzymał mi syna do chrztu — a ja dziękowałem Bogu, że staropolskie: „jakoś to będzie“ ochroniło mnie od żony, co pali papierosy i powozi czwórką.

Moja Jadwinia, to anioł prawdziwy; niedługo zacznie uczyć gramatyki naszego Stasia i daj Boże, aby ten Stach mój kochany znalazł kiedyś taką samą żonę. Bóg łaskaw! jakoś to będzie!